

BETTY NEELS

Propozycja

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poranne wrześnie słońce nie grzało niemal wcale, za to nadawało rosnać w parku drzewom i krzakom odcień ciemnego złota. Kusiło też ptaki do śpiewu, tak że w samym sercu Londynu miało się złudzenie spokojnego, wiejskiego pejzażu.

O tak wczesnej porze Green Park był jeszcze niemal pusty. Jediną ludzką istotą w polu widzenia była młoda dziewczyna, prowadząca na smyczy maleńkiego teriera jorkszyrskiego. Była szczupła, o delikatnej twarzy, błękitnych oczach, a na jej ramiona spadał snop płowych włosów. Jej ubranie odznaczało się dobrym krojem, ale było mocno znoszone i reprezentowało modę sprzed kilku sezonów.

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Zawędrowała dziś nieco dalej niż zwykle. Lady Mortimor, choć oczywiście wciąż jeszcze tkwi w łóżku, z pewnością będzie się dopytywać pokojówki, czy aby poranny spacer Bobo nie przekroczył dozwolonego czasu. Ale było tak przyjemnie, że mogłaby przechadzać się godzinami.

Właśnie miała zawrócić, gdy coś wielkiego, ciężkiego i bardzo kudłatego z impetem wpadło na nią od tyłu. Klapnęła gwałtownie, a wokół niej kłębiło się ogromne psisko i rozhisteryzowany, ciągnący za sobą smycz, Bobo.

Psisko oparło ogromną łapę na jej klatce piersiowej i, szczerząc z uciechy zęby, wylizało jej policzek. Łapa zdecydowanie utrudniała drobnej dziewczynie powrót do pozycji pionowej. Na szczęście w tym momencie pojawił się właściciel psa. Tak, to musi być właściciel,

stwierdziła w duchu. Tylko olbrzym mógłby poradzić sobie z taką bestią, a z horyzontalnego punktu widzenia nowo przybyły rzeczywiście wydawał się bardzo wysoki. Był ubrany po sportowemu i - nawet widziany pod tak dziwnym kątem - bardzo przystojny. A na dodatek uśmiechał się.

Nieznajomy pomógł jej stanąć na nogi, podtrzymując ją jedną ręką, podczas gdy drugą otrząpywał jej ubranie z kurzu.

- Chciałbym panią przeprosić - rzekł niskim, dźwięcznym głosem. - Brontes przepada za małymi pieskami.

Przepraszał niby na serio, ale w kącikach jego ust krył się cień uśmiechu, który ją zirytował.

- Jeśli nie jest pan w stanie upilnować swojego psa, powinien go pan trzymać na smyczy - odparła niezyczliwie, po czym rozejrzała się z przerażeniem. - Gdzie jest Bobo? Jeśli zginie, nigdy...

- Niechże się pani uspokoi - rzekł mężczyzna łagodnym tonem, który jeszcze bardziej ją rozdrażnił, po czym głośno gwizdnął.

Brontes raptownie wyłonił się z pobliskich zarośli.

- Szukaj! - rozkazał mu właściciel i zwierzę znikło ponownie, by pojawić się po krótkiej chwili, trzymając w zębach smycz, na której końcu potulnie dreptał Bobo. - Dobry piesek - pochwalił go mężczyzna. - No, czas na nas. Na pewno nic się pani nie stało? Czasami, kiedy człowiek jest wściekły, może nawet nie zauważyć, że się potłukł - dodał uprzejmie.

- Nie jestem wściekła i nic mi się nie stało. Miał pan szczęście, że trafił na mnie, a nie na starszą wdowę z pekińczykiem.

- To prawda. Miałem wielkie szczęście, panno...?

- Uśmiechnął się ponownie, obserwując jej twarz spod ciężkich powiek. - Renier Pitt-Colwyn.

- Francesca Haley. Ja... muszę już iść. - Ciekawość wzięła jednak górę. - Pański pies ma takie dziwne imię...

- Jest jednooki.
- Och, jak jeden z cyklopów. Do widzenia.
- Do zobaczenia, panno Haley.

Stał jeszcze dłuższą chwilę, obserwując, jak szła szybkim krokiem w kierunku wyjścia z parku wiodącego na Piccadilly. Po chwili zaczęła biec. Ponieważ krótkie łapki Bobo nie mogły nieść go tak szybko, wzięła psiaka na ręce i wybiegła przez bramę. Teraz zwolniła. Z Berkeley Street skręciła w małą, elegancką uliczkę i dotarła do wytwornej willi.

Jedną z wprowadzonych przez Lady Mortimor zasad było to, że wracając ze spaceru z Bobo, Francesca musiała wchodzić bocznymi drzwiami. Jaśnie pani nie życzyła sobie śladów brudnych łapek teriera ani butów Franceski na podłodze wytwornego holu.

Drzwi prowadziły do ciemnego korytarza z pobielonymi ścianami i wydeptanym linoleum. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, psiej sierści oraz gotowania. Francesca skrzywiła nos. Wytarła pieskowi łapy i weszła do kuchni.

Ethel, pokojówka Lady Mortimor, przygotowywała właśnie dla swej pani tacę ze śniadaniem. Była to koścista kobieta o zbyt blisko osadzonych oczach i niesympatycznej twarzy. Gdy pojawiła się Francesca, niosąc Bobo pod pachą, zerknęła na zegar. Dziewczyna, mając jeszcze kilka minut w zapasie, pozdrowiła ją i dodała pogodnie:

- Proszę powiedzieć Lady Mortimor, że Bobo porządnie się wybiegał, dobrze, Ethel? Idę na śniadanie, wracam o zwykłej porze.

Ethel niechętnie kiwnęła głową. Bobo zawsze udawał się do sypialni swej pani wraz ze śniadaniem, co znaczyło, że Francesca miała niemal godzinę dla siebie przed rozpoczęciem codziennych obowiązków jako sekretarka Lady Mortimor i jej dama do towarzystwa w jednej osobie. Zresztą ten podwójny tytuł niezbyt odpowiadał rozlicznym zajęciom, wypełniającym jej całe dnie.

Wyszła bocznymi drzwiami i omijając elegancki ogródek, skierowała się na tył domu. Pokoiki, które zajmowała - a które jej chlebodawcy z lekką przesadą nazywała mieszkaniem - znajdowały się nad garażem. Mieszkanko stanowiło główny powód, dla którego podjęła tę pracę i zamierzała ją kontynuować, choć Lady Mortimor traktowała to lokum jako pretekst, by płacić dziewczynie śmiesznie niską pensję. Jednak był to jakiś dach nad głową dla Franceski i jej młodszej siostry.

Lucy przygotowywała właśnie śniadanie. Była bardzo podobna do Franceski, tyle tylko, że miała zadarty nos, a jej włosy przypominały odcieniem marchewkę. Nie było wątpliwości, że za kilka lat stanie się równie ładna jak jej starsza siostra. Ale teraz, gdy była czternastolatką, własny wygląd napełniał ją niepokojem. Powzięła bowiem mocny zamiar, by jak najszybciej dorosnąć, wyjść za bogacza i żyć w luksusie, przy czym oczywiście Francesca miała mieszkać z nią i jej wymarzonego mężem.

- Wścieka mnie, że musisz pracować u tej okropnej baby - oznajmiła z ogniem.

- Nie martw się, siostrzyczko - Francesca starała się być praktyczna. - Jeszcze parę lat, skończysz szkołę i na pewno zrobisz wielką karierę. Wtedy ja będę mogła przejść na emeryturę.

Zrzuciła sweter i zaczęła nakrywać do stołu w małej jadalni z miniaturową wnęką, mieszczącą piecyk gazowy i zlew.

- Miałam przygodę - oznajmiła siostrze i opowiedziała jej, co zdarzyło się w parku.

- A jaki to był pies? - chciała wiedzieć Lucy.

- No, sama nie wiem... z przodu wyglądał jak bardzo duży bernardyn, ale jakby zwężał się w okolicach ogona. A znowu ogon był taki długi, że wystarczyłoby go dla dwóch psów.

- A ten facet dobrze go traktował? - Lucy przepadała za zwierzętami. Nawet teraz bezdomna kotka

z kociećkami mieszkała nielegalnie w tekturowym pudle pod stołem.

- Tak. Nie krzyczał na niego, a on wyglądał na zadowolonego z życia. Miał tylko jedno oko, nie zdążyłam zapytać czemu. A wabił się zabawnie: Brontes. To był...

- Wiem, jeden z cyklopów w mitologii greckiej. A czy właściciel Brontesa był sympatyczny?

- Chyba tak. - Francesca skrzywiła się. - Choć uważał za zabawne, że się wywaliłam.

- Bo to pewnie było zabawne - stwierdziła Lucy. - No, muszę pędzić, bo spóźnię się na autobus.

Po wyjściu siostry Francesca pozmywała, zrobiła jakiś porządek w sypialni i jadalni, zostawiła jedzenie dla kotów, po czym ruszyła z powrotem do pracy. Rzadko wracała do siebie wcześniej niż o szóstej.

Jej chlebodawczyni wciąż jeszcze była w łóżku. Wsparta o koronkowe poduszki czytała listy. W młodości musiała być przystojną kobietą; teraz, po pięćdziesiątce, większość czasu spędzała na wysiłkach, by zachować urodę. Ale ani codzienne masaże, ani zabiegi jednego z najlepszych fryzjerów w Londynie nie były w stanie ukryć zmarszczek wywołanych wiecznym niezadowolaniem i rozdrażnieniem.

Francesca przywitała ją i stała teraz, słuchając skarg na bezsenność, na niekompetencję służby i na rachunki, które nadeszły pocztą. Gdy dama zakończyła swoje uzalania, Francesca zapytała:

- Czy mam najpierw zająć się rachunkami, Lady Mortimor? Wypiszę też czeki i zostawię je pani do podpisu. A czy nadeszły jakieś zaproszenia, na które trzeba odpowiedzieć?

Chlebodawczyni cisnęła w jej kierunku stertę listów.

- Och, proszę zabrać całą korespondencję i zająć się tym wszystkim. Czy jest coś szczególnego, co powinnam dzisiaj załatwić?

- Wynagrodzenia dla służby - zaczęła Francesca i zaczerwieniła się na widok szyderczego grymasu Lady Mortimor.

- Ach, o tym na pewno by pani nie zapomniała...

-Doktor Kennedy przyjdzie o jedenastej. Czy przyjmie go pani w saloniku?

- Chyba tak. Musi wreszcie przepisać skuteczny lek na moje palpacje. Coś jeszcze?

- Przymiarka dwóch wieczorowych sukni u „Estelle” i lunch z panią Felliton.

-Gdy wyjdę na lunch, proszę uaktualnić mój terminarz spotkań, ułożyć kwiaty w jadalni i odebrać kostium z pralni chemicznej. A jeszcze przed tym wszystkim trzeba napisać na maszynie kilka listów, więc nie marnuj czasu, Francesco.

Gdy Francesca ruszyła ku drzwiom, Lady Mortimor dodała:

-I proszę wyprowadzić małego Bobo...

- A do tego dojdzie pewnie jeszcze parę drobiazgów - mruknęła pod nosem dziewczyna, idąc po księgę wynagrodzeń. Był to jeden z nielicznych obowiązków, który sprawiał jej satysfakcję. W końcu płaciła nie tylko służbie, ale i sobie samej. Wpisała sumy wypłat, wyjęła ze ściennego sejfu kasetkę z pieniędzmi i przygotowała ją dla Lady Mortimor, która lubiła odgrywać co piątek szczerą damę i osobiście płacić wszystkim gotówką. Więcej czasu musiała spędzić nad rachunkami. Właśnie zbliżała się do końca, gdy Maisie, pomoc domowa, przyniosła jej filiżankę herbaty. Stosunki między Francesca a służbą układały się bardzo dobrze, oczywiście z wyjątkiem zawistnej Ethel. Kiedy tylko inni zorientowali się, że nie zamierza wkraczać w ich kompetencje i że jest prawdziwą damą, opanowaną i o cichym, uprzejmym głosie, całkowicie ją zaakceptowali.

Lady Mortimor pojawiła się wreszcie, podpisała czeki i z królewską łaskawością wypłaciła tygodniów-

ki. Wreszcie, zaopatrzona w tacę z zastawą do kawy, przyjęła doktora Kennedy'ego. Dało to Francesce czas, by uporządkować zagracone przez panią domu biurko, wyprowadzić Bobo na dwudziestominutową przechadzkę, a wreszcie w pośpiechu przełknąć lunch w opustoszałym saloniku. Pokrzepiona wyruszyła do pralni.

Nie było to daleko. Lady Mortimor była stałą klientką niewielkiego zakładu na eleganckiej Old Bond Street, więc spacer był przyjemny. Po drodze Francesca wspominała z tęsknotą piękny, przytulny dom w Hampstead Village, gdzie mieszkała, gdy żyli rodzice. Od tej pory minęły cztery lata.

Aż drgnęła z bólu, przypominając sobie dzień, gdy okazało się, że dom miał obciążoną hipotekę, zaś długi były tak znaczne, że pochłonęły wszystkie pieniądze, jakie pozostały. Jedyna pociecha, że istniał specjalny kapitał na wykształcenie Lucy, tak iż mogła nadal uczęszczać do tej samej bardzo dobrej szkoły.

Przez pewien czas siostry mieszkały kątem u życzliwej starszej pani, która pracowała uprzednio w ich rodzinie jako gospodyni. Wtedy to Francesca, pracując dorywczo, ukończyła wieczorowe kursy maszynopisania i stenografii i zaczęła rozglądać się za stałym zajęciem. Wiedziała, że musi jak najprędzej zapewnić Lucy i sobie dach nad głową. Dwa lata temu odpowiedziała na ogłoszenie Lady Mortimor. Ponieważ z tą pracą łączyło się mieszkanie - także dla Lucy, pod warunkiem, że nigdy nie przekroczy progu domu chlebodawczyni - zdecydowała się, z pełną świadomością, że absolutnie nie może liczyć na podwyżkę.

Sekretarka - dama do towarzystwa. To brzmiało bardzo przyjemnie, ale w rzeczywistości oznaczało - z wyjątkiem niedziel - do dziesięciu godzin dziennie pracy. No cóż, trzeba to będzie znosić, dopóki Lucy nie ukończy szkoły, czyli cztery lata. Będę już zbliżać

się do trzydziestki, pomyślała Francesca smętnie, wracając do domu z upranym kostiumem. Czekają ją jeszcze układanie kwiatów i terminarz do uzupełnienia. Aha, jeszcze trzeba napisać listy, wyprowadzić Boba...

Następnego ranka lało jak z cebra. Mimo to, Bobo w szkarłatnej plastikowej pelerynce i Francesca w liczącym sobie już dziesięć lat płaszczu burberry, wyruszyli na codzienny spacer. Była sobota i ulice były niemal puste. Podobnie rzecz się miała w Green Park. Francesca miała odrobinę nadziei, że spotka nieznanego z psem, zdawała sobie jednak sprawę, że nikt, kto koniecznie nie musi, nie wyprowadzałby w taką ulewę psa dalej aniżeli na najbliższą uliczkę.

Byli mniej więcej w miejscu, gdzie zwykle zawracali, gdy dziewczyna usłyszała radosne szczekanie wielkiego psa, a po chwili on sam podbiegł do niej wielkimi susami. Za psem pojawił się jego pan.

- O, dzień dobry! - przywitał Francescę. - Nie spodziewałem się, że się na panią natknę. Pogoda jest taka okropna.

Wolałaby, aby ta uwaga nie padła. Zabrzmiała bowiem, jakby Francesca pojawiła się w tym miejscu specjalnie, by go spotkać. Zaczerwieniła się i spojrzała w inną stronę, nie mogła więc spostrzec jego uśmiechu.

- Chętnie poświęcamy się dla naszych psów, prawda? - zapytał lekko. - A tutaj mogą się doskonale wybiegać.

- Bobo nie jest mój. To piesek Lady Mortimor, a ja jestem jej damą do towarzystwa.

- Zupełnie nie wygląda pani na damę do towarzystwa - odparł ze śmiechem. - Czy to nie są takie panie, które wypożyczają dla swoich chlebowców książki z biblioteki, czytają im głośno i odnajdują zagubione robótki na drutach? To już chyba wymierający gatunek.

Gdybyż on sobie zdawał sprawę... pomyślała. Ale powiedziała pogodnie:

- Och, nie jest tak źle. A poza tym lubię spacerować z Bobo. No, czas na mnie. - Posłała mu swój czarujący, mokry od deszczu uśmiech. - Do widzenia, panie Pitt-Colwyn.

- *Tot ziens*, panno Francesco Haley.

Pochyliła się, by poklepać Brontesa.

- Ciekawa jestem, dlaczego on ma tylko jedno oko? - rzekła z namysłem, po czym odeszła szybko, ciągnąc za sobą Bobo, który koniecznie chciał powrócić do swego nowego przyjaciela.

Co on powiedział zamiast „do widzenia”? Coś w nieznanym języku. Jego imię też brzmiało zabawnie. Jakby Rainer, ale nie była całkiem pewna.

Gdy Francesca weszła do kuchni, Ethel, która właśnie wybierała się ze śniadaniem do sypialni, spojrzała z triumfem na ścienny zegar.

Francesca zauważyła jej spojrzenie.

- Może pani powiedzieć Lady Mortimor, że byliśmy w parku dokładnie tyle czasu, ile powinniśmy, ale musiałam dokładnie wytrzeć łapy Bobo, aby nie zadeptał jej sypialni.

Ethel spojrzała na nią z nienawiścią i wyszła z kuchni, a za nią podreptał Bobo. Kucharka podała Francesce filiżankę gorącej herbaty i rzekła uspokajająco:

- Niech panienka nie zwraca uwagi na tę całą Ethel. Jedno, co ona lubi, to denerwować ludzi.

Francesca upiła łyk herbaty.

- Tylko jej się wydaje, że może mnie zdenerwować. Dziękuję za herbatę, jest pyszna.

Była sobota, więc Lucy miała wrócić ze szkoły wcześniej. Ponieważ to ona robiła zakupy, podczas wspólnego śniadania przygotowały listę.

- Spotkałaś go znowu?

- Tego mężczyznę z psem? - Francesca, która liczyła właśnie pieniądze na życie, podniosła oczy na

siostrę. - Tak, ale powiedzieliśmy sobie tylko dzień dobry. Jak myślisz, czy powinnam zmienić trasę spacerów? Bo może on myśli, że ja naumyślnie chodzę tak, by go spotykać.

- A nie chcesz tego?

- On się ze mnie podśmiewa. Oczywiście nie głośno, ale wiesz, w środku.

- Jutro z tobą pójde i sama mu się przyjrę - zawyrokowała Lucy.

W niedzielę Francesca wyprowadzała pieska rano, a resztę dnia miała wolną.

- Na pewno nie będzie go w parku tak wcześnie...

- I tak pójde z tobą. A co będziemy robić później? Przejdziemy się na Regent Street, żeby pooglądać wystawy? A może zjemy coś u McDonalda?

- Dobrze, kochanie. Potrzebujesz płaszcza na zimę...

- Ty też. A może znajdziemy na ulicy sznur pereł lub pierścioneek z brylantem i dostaniemy nagrodę od właściciela?

Francesca roześmiała się.

- To się zdarza tylko w powieściach. Mój płaszcz przetrzyma jeszcze jedną zimę. Poza tym ja już nie rosnę, a ty tak. Rozejrzemy się, a jak zaoszczędzę trochę pieniędzy, kupimy płaszcz dla ciebie.

Lady Mortimor zaprosiła gości na lunch, co oznaczało, że Francesca znów musiała ułożyć kwiaty w wazonach, a następnie dyskretnie trzymać się w pobliżu na wypadek, gdyby jej chlebodawczyni czegoś sobie życzyła.

- Będziesz nalewać drinki - rzekła łaskawie Lady, gdy po lunchu jej goście rozsiedli się w bawialni. Następnie dodała ostro: - I proszę zadbać, żeby każdy dostał dokładnie to, o co poprosi.

Tak więc Francesca musiała biegać od gościa do gościa, roznosząc sherry, gin z tomkiem i whisky. Upzejma i opanowana, wewnątrz wrzała z oburzeń-

nia, że narzucono jej obowiązek, który właściwie przynależał do kamerdynera Crowa. Oczywiście chodziło o to, by przypomnieć Francesce, gdzie jej miejsce. Na szczęście Crow nie czuł się urażony. Miał kiepskie zdanie o swej chlebodawczyni, wdowie po hurtowniku tekstyliów, który rozdał wystarczająco dużo pieniędzy na cele dobroczynne, by otrzymać tytuł szlachecki. A co do Franceski, to -jak poinformował kucharkę - gdy tylko ją ujrzał, natychmiast rozpoznał w niej prawdziwą damę.

Kiedy goście pożegnali się, Lady Mortimor także zaczęła się szykować do wyjścia.

- Proszę przygotować te listy - poleciła Francesca. - I wpisać do mojego kalendarza, że we wtorek rano doktor Kennedy przyjdzie do mnie na konsylium wraz ze specjalistą. Zostaniesz ze mną - na pewno będę się marnie czuła,

To bardzo prawdopodobne, pomyślała Francesca. Zbyt dużo ciężkiego jedzenia, no i te wszystkie drinki...

Niedziele to cudowne dni. Lucy towarzyszyła jej podczas spaceru z Bobo, a potem Francesca była już wolna. Po śniadaniu siostry wychodziły na miasto, by spędzić większą część dnia na oglądaniu wystaw i wybieraniu tego, co kupiłyby, gdyby miały pieniądze. Potem przegryzały coś u McDonalda i późnym popołudniem wracały na herbatę do swego małego mieszkanka. Tu spędzały spokojny wieczór, wygrzewając się przy gazowym płomieniu na kominku, podczas gdy kocięta figlowały z matką.

Poniedziałek, jak zawsze, nadszedł zbyt szybko. W parku tym razem nie było Brontesa ani jego pana, a po powrocie do domu Francesca stwierdziła, że Lady Mortimor jest w wyjątkowo złym humorze. Zasypywała dziewczynę dyspozycjami na następny dzień, kiedy to miał przyjść spec"alista. Poleciła jej też zjawić się wcześniej niż zwykle.

Sceneria wizyty została dopracowana w każdym szczególe. Lady Mortimor wystroiła się w cienką jak pajęczynka bieliznę i aksamitny szlafrok, Ethel ułożyła jej loki i przewiązała wstążką. Całości dopełniał pastelowy podkład pod makijaż. Pacjentka postanowiła ułożyć się na sofie w ubieralni. Spowita w szale spoczywała tam już o wpół do dziesiątej, roztaczając wokół atmosferę łagodnej rezygnacji i cierpienia.

Tego ranka nie było mowy o porannej kawie, co oczywiście oznaczało, że Francesca też jej nie dostała. Nieustannie była zajęta. Musiała podawać Lady Mortimor najrozmaitsze drobiazgi, mające przynieść ulgę cierpiącej osobie: wodę kolońską, sole trzeźwiące, szklankę wody...

- Proszę być pod ręką - poleciła dama. - Od czasu do czasu mogę potrzebować pomocy, a może będziesz musiała coś podać czy przynieść lekarzowi.

Francesca zastanawiała się, co to właściwie za specjalista. Odważyła się wreszcie zapytać i naturalnie dostało jej się za to.

- Oczywiście kardiolog, któż by inny? Podobno najwybitniejszy - nigdy nie oszczędzam, gdy chodzi o zdrowie...

Wybiła dziesiąta, ale ani doktora Kennedy'ego, ani jego słynnego kolegi nie było widać. Lady Mortimor, moszcząc się na sofie, rozpoczęła poirytowaną tyradę:

- Ty głupia dziewczyno, czemu nie zadzwoniłaś, żeby sprawdzić, czy wizyta dojdzie do skutku? Naprawdę, nie nadajesz się do niczego...

Francesca nie odpowiedziała, bo w tym momencie drzwi otworzyły się i stanęli w nich doktor Kennedy oraz... pan Pitt-Colwyn. Słyszeli, co ona mówi, pomyślała z udręką, i już zawsze będę w ich oczach niedorajdą, nieużyteczną dziewczyną na posyłki.

- No, powiedzże coś! - warknęła jej chlebodawczyni i wreszcie dostrzegła obu mężczyzn. Natych-

miast rozpląnęła się w uśmiechach, a głos jej złągodniał.

- Panie doktorze Kennedy, jak to dobrze, że zechciał pan przyjść. Francesco, moja droga, idź i dopilnuj, żeby Crow przyniósł kawę...

- Dziękujemy za kawę - rzekł doktor Kennedy.

- Lady Mortimor, oto pan profesor Pitt-Colwyn. Prosiła pani o wizytę najwybitniejszego specjalisty chorób serca, więc przyprowadziłem go, by panią zbadał.

Lady Mortimor omdlewającym gestem wyciągnęła rękę.

- Panie profesorze, dziękuję, że znalazł pan czas. Na pewno jest pan bardzo zajęty.

Profesor, który ani razu nie spojrział na Francescę, odparł z pełną powagi uprzejmością:

- Tak, Lady Mortimor, rzeczywiście jestem bardzo zajęty. - Przysunął sobie krzesło i usiadł. - Proszę mi powiedzieć, co pani dolega.

- Mój Boże, sama nie wiem, jak zacząć. Czuję się źle od chwili, gdy mój drogi mąż zgasł. Tak trudno pozostać samej, gdy ma się przed sobą jeszcze długie życie. Cierpię na palpacje i jestem pewna, że mam słabe serce, choć doktor Kennedy mnie uspokaja...

Profesor Pitt-Colwyn słuchał tego paplania z nieruchomą twarzą. Nagle Lady Mortimor warknęła zupełnie innym tonem:

- Francesca, nie widzisz, że jest mi słabo? Rusz się i podaj mi szklankę wody! Ale już!

Pełna szklanka stała w zasięgu jej ręki. Francesca podała ją, tłumiąc gwałtowną chęć, by wylać wodę na głowę chlebobawczyni. Potem wycofała się do swego kącika i obserwowała profesora. Był ubrany w świetnie skrojony ciemnoszary garnitur. Jego twarz miała szlachetne rysy, a w gęstych włosach widać było kilka pasemek siwizny. Z kontemplacji wyrwał ją ostry głos:

- Moje sole trzeźwiące! Nie płacę ci za to, żebyś tkwiła w kącie... - Lady Mortimor uświadomiła sobie

nagle, że ma słuchaczy i dodała słodziutko: - Przepraszam, gdy mam atak, sama nie wiem, co mówię.

Żaden z dwóch lekarzy nie odezwał się ani słowem. Francesca podała sole, a profesor wstał z krzesła.

- Chciałbym teraz osłuchać pani serce - rzekł i dyskretnie odstąpił od sofy, podczas gdy Francesca zabrała szale, zdjęła pacjentce szlafrok i nakryła ją kocykiem.

Profesor badał Lady Mortimor bardzo starannie, zmierzył jej także ciśnienie. Wreszcie spytał:

- Proszę powiedzieć, ile pani waży?

Pastelowy makijaż nabrał różowego odcienia.

- Właściwie... dokładnie nie wiem...

- Ma pani nadwagę - stwierdził rzeczowo profesor - i to jest jedyna przyczyna pani palpacji. Powinna pani zrzucić w ciągu najbliższego półrocza co najmniej siedem kilo. Wskazany jest ruch, szczególnie regularne spacery. Tylko lekkie posiłki i bardzo niewiele alkoholu. Od razu poczuje się pani znacznie lepiej.

- Ale moje serce...

- Ma pani serce jak dzwon. Zaręczam, że nie dolega pani nic poza nadwagą.

Powstał i uściśnął jej dłoń.

- Chciałbym teraz zamienić kilka słów z doktorem Kennedym. Może ta młoda dama zaprowadzi nas gdzieś, gdzie będziemy mogli pomówić w cztery oczy.

- Pan coś przede mną ukrywa! - jęknęła Lady Mortimor. - Jestem pewna, że nie mówi pan całej prawdy.

Profesor spojrział na nią zimno.

- Nie mam zwyczaju kłamać. Po prostu chcę omówić z kolegą Kennedym pani dietę.

Francesca otworzyła drzwi i przepuściła go przodem.

- Najlepszy będzie salonik - rzekła. - O tej porze nikogo tam nie ma.

Zaprowadziła ich i spytała:

- Czy napiją się panowie kawy?

Dwaj lekarze spojrzeli po sobie i profesor Pitt-Colwyn podziękował uprzejmie, a zarazem tak obojętnie, że przez sekundę zastanawiała się, czy spotkania w parku po prostu jej się nie przyśniły. A może już go nie interesowała? Był przecież taką ważną osobistością!

Francesca musiała znosić zły humor Lady Mortimor aż do wieczora. A następny dzień zapowiadał się jeszcze gorzej, ponieważ doktor Kennedy miał przedstawić gotową dietę...

Oczywiście Francesca opowiedziała wszystko Lucy.

- Jejku, ale draka! Czy był bardzo nadęty?

- Nie, nic a nic. Tylko że zupełnie nie było wiadomo, co myśli.

- Och, lekarze zawsze mają pokerowe twarze. Inna sprawa, że mógł cokolwiek powiedzieć.

- Właściwie dlaczego? - spytała gniewnie Francesca. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Tylko... wydawało mi się, że jest sympatyczny - dodała troszkę smutno.

- Nie przejmuj się, Fran. Znajdę ci prawdziwego milionera, który będzie cię ubóstwiał. Wyjdiesz za niego i będziecie żyli szczęśliwie aż do śmierci.

Następnego ranka Francesca miała wielką ochotę wybrać inną trasę spaceru z Bobo, ale nie śmiała złamać szczegółowych poleceń Lady Mortimor, która utrzymywała ścisłą dyscyplinę wśród służby. Ze szczególnym zaś upodobaniem narzucała ograniczenia Francesce, wiedząc, jak jej zależy na dachu nad głową dla siebie i Lucy.

Nie była więc szczególnie zaskoczona, gdy Brontes podbiegł do niej wielkimi susami. Za nim, wolniejszym krokiem, zbliżył się jego pan. Francesca przywitała go chłodnym dzień dobry i dalej kroczyła przed

siebie, obskakiwana przez uszczęśliwionego Brontesa, ciągnąc na smyczy Bobo.

Profesor Pitt-Colwyn z łatwością dotrzymał jej kroku.

- Zamiast robić taką obrażoną minę, niech pani mnie lepiej wysłucha. - Mówił bardzo uprzejmie, ale tonem człowieka przywykłego, że inni słuchają go uważnie.

- Nie rozumiem - odparła sztywno Francesca.

- Proszę nie być głuptaskiem. Jest pani najeżona, ponieważ wczoraj panią zignorowałem. Zrozumiały, ale typowe dla kobiecego sposobu myślenia. A gdybym tak wszedł do pokoju z okrzykiem: „Ach, panna Francesca Haley, jakże się cieszę, że znów panią widzę!”, to jak zareagowałyby pani chlebobdawczynie?

Spojrzał na jej zaskoczoną twarz.

- A teraz, kiedy już sobie wyjaśniliśmy to małe nieporozumienie, proszę mi powiedzieć, czemu, na Boga, pracuje pani dla tej antypatycznej osoby?

- Myślę, że to naprawdę nie jest pańska sprawa... Nie wzruszyło go to.

- O tym sam zadecyduję. - Błysnął ku niej uśmiechem. - Jestem kimś zupełnie obcym. Można mi wszystko opowiedzieć, a jeśli będzie pani sobie tego życzyć, natychmiast zapomnę o tym, co usłyszę.

- Och, rozumiem. Przysięga Hipokratesa.

Kąciki ust mu drgnęły.

- A tak, to także. Nie czuje się pani dobrze u tej kobiety, prawda?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie... To miło, że pan się tym interesuje, ale nic na to nie można poradzić.

- Jeśli mi pani wszystkiego nie powie, to oczywiście nie można. - Spojrzał na zegarek. - Ile zostało czasu, zanim będzie pani musiała się zameldować w pracy?

- Kwadrans.

- Przez kwadrans można omówić wiele spraw. Odprowadzimy panią z Brontesem aż do Piccadilly.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Gwizdnął na Brontesa. - Teraz proszę mnie potraktować, jakbym był pani ulubionym wujkiem.

I sama nie wiedząc, jak to się stało, Francesca opowiedziała mu wszystko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia, zaledwie Francesca i Bobo weszli do parku, Renier Pitt-Colwyn przyłączył się do nich.

- Cudowny poranek - rzekł wesoło. - Bardzo lubię jesień, a pani?

Pochylił się i odpiął smycz od obróżki Bobo.

- Niech to rozpieszczone biedactwo troszkę skorzysta z wolności. Brontes się nim zaopiekuje. Ma bardzo silny instynkt ojcowski.

Trudno było przy nim zachowywać się chłodno i z dystansem.

- To takie miłe psisko, ale chyba kundel, prawda?

- O, z całą pewnością. Bóg raczy wiedzieć po kim ma ten ogon.

Francesca poczuła nagły przypływ nieśmiałości i aby cokolwiek powiedzieć stwierdziła:

- Musiał być rozkosznym szczeniakiem.

- Znalazłem go w małym miasteczku w Grecji. Ktoś wybił mu oko i zatłukł go niemal na śmierć. Miał wtedy około ośmiu tygodni.

- Biedactwo! A ile ma teraz?

- Osiem miesięcy i wciąż rośnie. To świetny towarzysz, a w dodatku jest bardzo zdyscyplinowany.

- Muszę już iść - rzekła. Rozejrzała się za terierkiem, którego nigdzie nie było widać. Po chwili jednak, w odpowiedzi na gwizd swego pana, z zarośli wynurzył się Brontes z płaczącym mu się między łapami Bobo. Profesor założył pieskowi smycz i wręczywszy ją swej towarzyszce, pożegnał ją uprzejmie, lecz zdawkowo. Wracając do domu zdała sobie sprawę, że ani słowem nie wspomniał o jej okropnej pracy.

Naprawdę wygłupiła się, wyżalając się obcemu, którego to wszystko nic a nic nie obchodziło.

W ciągu dnia niemal wymyśliła kilka sposobów, jak w przyszłości unikać spotkań w parku, ale żaden z nich nie był stuprocentowo pewny. Przez te rozmyślenia była tak roztargniona, że Lady Mortimor kazała jej ponownie przepisać kilka listów, ponieważ przecinki znalazły się w nieodpowiednich miejscach. Do domu dotarła dopiero około siódmej.

- Musiałaś mieć okropny dzień. - Lucy zatrzasnęła podręcznik i wydobyła z kredensu obrus oraz talerze.
- W piekarniku jest kilka ziemniaków, za chwilę powinny być gotowe. Możemy też otworzyć puszkę groszku. Zaraz ci przygotuję filiżankę herbaty.

- Cudownie, kochanie. A jak tam w szkole? Dostałaś „A” za wypracowanie?

- Dostałam. A czy widziałaś go dzisiaj?

- Tak, przez chwilę...

- Rozmawialiście?

- Tylko o jego psie. - Francesca napełniła filiżanki herbatą i usiadła. - Żałuję, że mu opowiedziałam...

- Ojej, już na pewno zapomniał. Ma tylu pacjentów. Głowa musi mu pękać od problemów innych ludzi.

Francesca otworzyła puszkę.

- Na pewno. Ale wołałabym już go więcej nie spotykać.

Ku jej skrytemu żalowi w ciągu następnych dni wydawało się, że jej życzenie się spełni. Profesor nie pojawił się w parku. Powiedziała sobie, że kamień jej spadł z serca i zakomunikowała to Lucy, która stwierdziła:

- Zawracanie głowy! Świetnie wiem, że chciałybyś go znowu zobaczyć.

- No... może. Przyjemnie czasami z kimś pogawędzić.

- Potrzeba ci towarzystwa. Czy do tej Mortimor nigdy nie przychodzą mężczyźni? Często przecież zaprasza gości na kolacje.

Francesca przywołała w pamięci znajomych swej chJebodawczyni. *Wszyscy byli już nie pierwszej młodości*, zamożni, zadowoleni z siebie i lubili głośno perorować. Albo ignorowali ją tak, jak nie zwracali uwagi na Crowa czy Maisie, lub też rzucali zdawkowe kilka słów, na przykład: „No, jak dziś się czuje nasza dziewczuszka?” Ponieważ Francesca liczyła sobie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i miała świetną sylwetkę, brzmiało to zupełnie absurdalnie.

- Żaden z tych panów mnie nie urzekł - odrzekła ze śmiechem. - Chyba jednak poczekam, aż dorosisz i poślubisz swego milionera. Może wtedy i na mnie spłynie odblask twojej wspaniałości. A na razie skorzystajmy, że kociaki śpią i nakarmmy ich mamę.

Wrzesień był piękny i słoneczny aż do ostatniego dnia, kiedy to ulewny deszcz spłukał ostatnie pozostałości lata. Francesca odbywała codzienne rutynowe spacerki z Bobo, by potem przełknąć w pośpiechu śniadanie i zabrać się za wypełnianie rozlicznych zadań, jakimi obarczała ją Lady Mortimor. Dama ta nie bywała nigdy zadowolona. Ścisła dieta, jaką przepisał jej profesor Pitt-Colwyn, może i wpływała korzystnie na jej wagę, ale fatalnie na humor.

Tego dnia jednak miała się odbyć proszona kolacja. Szkoda, że profesor tego nie słyszy, pomyślała dziewczyna, gdy kucharka wyliczała zaplanowane menu: dosłownie pękało ono od kalorii.

Gdy Francesca opuściła dom tego wieczora, przybyli już wszyscy goście. Ale przedtem gospodyni kazała jej zmienić układ kompozycji kwiatowych w holu, ponownie wypolerować kieliszki (ku wściekłości Maisie), a wreszcie pójść do kuchni i upewnić się, czy kucharka przypadkiem nie zapomniała, jak przyrządza się słodko-kwaśny sos. Zdenerwowało to ową utalentowaną kobietę do tego stopnia, że była gotowa z zemsty naumyślnie spowodować, aby się zwarzył.

- Całe szczęście, że jutro niedziela - westchnęła Francesca, pogryzając grzanek z serem. Lucy siedziała obok i odrabiała lekcje. - Wiesz, trzeba będzie ulokować gdzieś kociaki.

Obie spojrzały na szczęśliwą rodzinę w tekturowym pudle. Jak znaleźć im dobrych opiekunów?

Siostry położyły się wcześniej spać. Francesce śniła się Lady Mortimor oraz zwarzony sos. Obudziła się rozbita. Szczęście, że chociaż nie padał deszcz i że Lucy miała jej towarzyszyć w porannej przechadzce.

Zbliżyły się właśnie do kępy drzew, gdzie ścieżka raptownie skręcała, gdy Bobo zaczął radośnie ujadać. W chwilę później zza zakrętu wypadł Brontes. Wylewnie przywitał Francescę, obwąchał Lucy i wreszcie skoncentrował swój entuzjazm na rozradowanym terrierku.

- Witam, cóż za piękny poranek. - Profesor zachowywał się, jakby nie widzieli się zaledwie od wczoraj. Ale Francesca wiedziała bardzo dokładnie, że minęło już dziesięć dni. Pozdrowiła go chłodnym tonem, a gdy spojrział na Lucy, poczuła się zobowiązana dopełnić prezentacji:

- To moja siostra, Lucy. Lucy, to profesor Pitt-Colwyn.

Lucy wyciągnęła rękę.

- Miałam już wcześniej nadzieję, że pana poznam - oświadczyła - ale pewnie pana nie było w Londynie. A co pan robi wtedy z psem? Zabiera go pan ze sobą?

- Jeśli to tylko możliwe. Jeśli nie - zostaje w domu, gdzie go okropnie rozpieszczają. Podoba ci się?

- Jest wspaniały! My mamy kotkę i kociaki, Francesca pewnie panu mówiła. Teraz kocięta już są duże i będziemy musiały znaleźć dla nich dobre miejsca. - Lucy zerknęła na gniewną minę starszej siostry. - Pobiegam trochę z Bobo. Czy Brontes przyłączy się do nas?

- Będzie uszczęśliwiony. My pójdziemy spacerkiem.

- Powinnyśmy wracać - rzekła chłodno Francesca.

Ale Lucy z psami była już daleko, a profesor nie przejął się jej słowami.

- Chcę z panią porozmawiać, więc proszę nie robić obrażonej miny...

- Doprawdy... - Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. - Nie robię obrażonej miny. I nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać.

- Ależ pani przewrażliwiona! Najwyższy czas zmienić pracę!

Gdy popatrzyła nań z oburzeniem, dodał:

- Niechże pani pozwoli mi chociaż powiedzieć, co mam na myśli.

Ujął ją pod ramię i ruszyli w ślad za Lucy.

- Ma pani dosyć Lady Mortimor, nieprawdaż? Akurat wiem o pracy, która mogłaby pani odpowiadać. Niedawno zmarł mój bliski przyjaciel. Pozostawił wdowę z małą córeczką. Eloise jest aktorką. Przed ślubem pracowała w teatrze i nawet podczas małżeństwa od czasu do czasu występowała na scenie. Teraz ma możliwość wyjazdu na tournée z grupą innych aktorów i rozpaczliwie szuka kogoś, kto podczas jej nieobecności zamieszkałby w jej domu i opiekował się małą Peggy. Tournée będzie trwało trzy lub cztery miesiące, a jeżeli sztuka odniesie sukces, będzie potem grana w jednym z londyńskich teatrów. Jeśli chodzi o prace domowe, to codziennie przychodzi sprzątaczką na przychodne. Nie miałyby pani dni wolnych, ale Peggy chodzi do szkoły, więc w sumie jest trochę wolnego czasu. Szkoła jest o pięć minut spacerem od Cornel Mews...

- To niedaleko Lady Mortimor!

- Tak, ale niech pani nie przerywa. Pensja nie jest najgorsza...

Tu profesor wymienił sumę, która wprawiła Francescę w kompletne oszołomienie.

- To znaczy... aż tyle tygodniowo? Jest pan pewny? Lady Mortimor... Ja... nie mam odpowiedniego przygotowania.

- Nie musi pani mieć. - Spojrzał na nią uważnie.
- No co, zastanowi się pani nad tym?

- Ale to nie jest stała posada. Poza tym, co z kotką i małymi?

- To będzie aktualne co najmniej przez kilka miesięcy, może dłużej - odparł uspokajająco.

- A z dobrymi referencjami znajdzie pani z łatwością następną pracę.

- Lady Mortimor na pewno mi nie da dobrej opinii!

- Jestem starym znajomym Eloise i myślę, że wystarczy, gdy ja poręcę za panią. A koty mogą zamieszkać u mnie. Brontes będzie zachwycony.

- Och, ale czy pańska żo... czy nie będą nikomu przeszkadzały?

- Nie będą. Spotkam się dziś z Eloise. Czy mam uprzedzić, że pani jest zainteresowana?

- Musiałabym się zastanowić.

- Daję pani dziesięć minut, a na ten czas dołączę się do reszty towarzystwa.

Zanim zdążyła zaprotestować, ruszył przed siebie równym, szybkim krokiem.

Powiedział dziesięć minut i Francesca podejrzała, że dokładnie tyle miał na myśli. Przewrotność mówiła jej, że w nowej pracy może wpaść z deszczu pod rynnę. Ale z drugiej strony... do odważnych świat należy.

Gdy profesor pojawił się znowu z rozgadana Lucy u boku i w asyście obu psów, rzekła bez ociągania:

- Dobrze, pójdę do tej pani. Ale mogę tylko wieczorem.

- W takim razie jutro o siódmej. Pani Vincent, Cornel Mews dwa. Zawiadomię ją. Jutro tu nie przyjdę, więc zobaczymy się we wtorek. Ma pani wolną resztę dnia?

Przez krótką, cudowną chwilę miała wrażenie, że proponuje, by spędzili czas razem. Ale rzucił tylko „do zobaczenia”, gwizdnął na Brontesa i odszedł

krokiem człowieka, który zrealizował to, co postanowił.

Lucy ujęła siostrę pod rękę.

- No, opowiadaj! Po co masz iść do tej pani Vincent?

Zanim dotarły do domu, Lucy wiedziała już o wszystkim. Po odprowadzeniu pieska poszły do siebie i zasiadły nad poranną kawą, żeby wszystko obgadać.

- Właściwie to nieważne, czy ona jest sympatyczna, czy nie, skoro i tak jej tam nie będzie - zauważyła Lucy. - Och, Fran, byłoby bosko, gdybyśmy mieszkały tam same! No i Peggy oczywiście. Ciekawe, ile ona ma lat?

- Zapomniałam zapytać.

- I tyle forsy! - rozmarzyła się dziewczynka. - Mogłybyśmy obie kupić sobie zimowe płaszcze.

- Powinniśmy jak najwięcej oszczędzać. Co będzie, jak nie dostanę następnej pracy?

- Nie bądź czarnowidzem - zgromiła ją młodsza siostra. - Chodźmy się przejść i pooglądać wystawy.

- Cieszę się, że koty trafią w dobre ręce - rzekła Francesca.

- Mhm. Ciekawe, gdzie on mieszka?

- W jakimś miejscu odpowiednim dla profesora - orzekła Francesca.

Nie mogła pogodzić się z tym, że Pitt-Colwyn pożegnał się i odszedł tak nagle. Chociaż... spełnił już swój dobry uczynek na ten dzień: znalazł pracownicę dla swojej znajomej, a jej umożliwił wyrwanie się od Lady Mortimor.

- Złożę wymówienie z prawdziwą satysfakcją - stwierdziła zadowolona.

Poniedziałek zaczął się fatalnie: fryzjer ufarbował pasemka we włosach Lady Mortimor na nieodpowiedni kolor. Francesca dostała polecenie, by natychmiast zamówić następną wizytę w salonie, ale okazało

się, że wszyscy fryzjerzy są zajęci, co jeszcze zwiększyło furię jej chlebodawczyni.

- A może Ethel umyje pani głowę i ułoży włosy na nowo? - zasugerowała Francesca.

W odpowiedzi dowiedziała się, że nie powinna pleść bzdur... i od tej pory już wszystko, cokolwiek zrobiła, było złe. Gdy dotarła do mieszkania, była zmęczona i trochę poirytowana. Na szczęście Lucy czekała na nią z imbrykiem herbaty.

- Wypij to - rzekła serdecznie - a potem włóż brązowy żakiet i spódnicę. Są stare, ale eleganckie. I umaluj się trochę. Masz dwadzieścia minut.

Była dokładnie siódma, gdy Francesca nacisnęła dzwonek u drzwi uroczego małego domku na Cornel Mews. Drzwi były pomalowane na piękny wiśniowy kolor, a po ich obu stronach rosły w donicach drzewka laurowe. Ledwie zdążyła skrzyżować palce na szczęście i wziąć głęboki oddech, gdy w progu stanęła szczupła i śliczna jak obrazek kobieta. Ciemne włosy miała w malowniczym, wystudiowanym nieładzie, zaś jej makijaż był tak subtelny, że niemal niewidoczny. Wyglądała, jakby była między dwudziestką a trzydziestką (w rzeczywistości miała trzydzieści pięć lat).

- Panna Haley? Proszę wejść. Renier opowiadał mi o pani...

Wprowadziła Francescę do wąskiego holu, a następnie do zaskakująco dużego salonu.

- Proszę, niech pani usiadzie. Wypijemy drinka i poznamy się bliżej.

Dziewczyna usiadła i wzięła szklaneczkę sherry, którą nalała jej gospodyni.

- Czy Renier wszystko pani wyjaśnił? - spytała pani Vincent.

- Powiedział, że wyjeżdża pani na tournée i że jest potrzebny ktoś, kto mógłby zaopiekować się pani córeczką oraz domem.

- Jaki on kochany! Dokładnie o to chodzi. - Pani Vincent ze szklaneczką w ręku wtuliła się wdzięcznie

w ogromny fotel. - Pozostają więc do ustalenia tylko szczegóły.

- Ależ... pani nic o mnie nie wie - zaprotestowała Francesca.

- A właśnie, że wiem. Moja gosposia jest siostrą kucharki Lady Mortimor. Poza tym Renier twierdzi, że jest pani poważną i odpowiedzialną młodą osobą. To mi zupełnie wystarcza. Kiedy pani może się wprowadzić? Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu.

Francesca nie miała żadnej szansy, by przerwać ten potok wymowy.

- Czy akceptuje pani warunki finansowe? Wszystkie rachunki są przesyłane do mojego prawnika, który je reguluje. Będzie pani otrzymywać od niego co tydzień czek na wydatki domowe i na pani pensję...

- A pani córeczka? - przerwała jej wreszcie Francesca. - Ile ma lat? Czy mogę ją poznać, zanim się wprowadzę? Poza tym chciałam powiedzieć, że mam młodszą siostrę. Musiałaby także tu zamieszkać.

- Czemu nie? Zaraz przyprowadzę Peggy. Jest w pokoju dzieciennym.

Pani Vincent znikła i po chwili pojawiła się z małą dziewczynką. Było to jedno z najbrzydszych dzieci, jakie Francesca kiedykolwiek spotkała: cienkie, bezbarwne włosy, szczupła twarzyczka i smutne małe usteczka.

- Ma sześć lat - rzekła obojętnym tonem pani Vincent. - Oczywiście chodzi do szkoły i jakoby jest bardzo zdolna. Podaj rękę pannie Haley, Peggy. Będzie z tobą mieszkała, kiedy mnie nie będzie.

Francesca zatrzymała małą łapkę w swej dłoni.

- Cieszę się, że będziemy razem mieszkać, Peggy - rzekła łagodnie. - Mam jeszcze młodszą siostrę. Powiedz, czy masz psa lub kota?

Dziewczynka pokręciła przecząco głową. Matka odpowiedziała za nią:

- Poprzednia niania absolutnie się nie zgadzała na jakiegokolwiek zwierzaka. - Roześmiała się. - Mnie

by to nie przeszkadzało. I tak prawie nigdy nie ma mnie w domu.

- To może przyniosłabym kociaka? Chciałabyś kotka, żeby się nim opiekować, Peggy?

Dziewczynka uśmiechnęła się po raz pierwszy: miała wzruszającą szparę między przednimi zębami.

- On byłby mój własny? - zapytała.

- Jeśli twoja mama pozwoli.

- Och, niech sobie ma tego kota, jeśli chce - rzekła matka. I niespodziewanie dodała: - Zupełnie wdała się w ojca.

Francesca nagle wszystko zrozumiała. Dla tej uroczej, filigranowej kobiety nieładne, milczące dziecko stanowiło coś w rodzaju przeszkody, zwłaszcza teraz, gdy wracała na scenę. Być może kochała córeczkę, ale nie pozwoliłaby, aby w jakikolwiek sposób utrudniała jej karierę.

Eloise Vincent dodała bez ogródek:

- Jestem nie najgorzej zabezpieczona, ale nie mam zamiaru zwiędnąć jako samotna wdowa. - Uśmiechnęła się czarująco. - Odczekam, aż minie trochę czasu, a potem ponownie wyjdę za mąż.

Francesca patrzyła na Peggy. Jej mizerna buzia wprost skamieniała z udręki. Powiedziała więc szybko:

- Przyniosę kotka ze sobą, dobrze? A ty wybierzesz mu imię. To mały samczyk, czarny z żółtymi ślepkami.

Dziewczynka wsunęła rączkę w jej dłoń.

- Naprawdę? I będzie z nami mieszkał?

- Oczywiście.

Eloise nalała sobie kolejnego drinka.

- Nie ma pani pojęcia, jaka to ulga, że wszystko załatwione. Mogę mówić do pani po imieniu? Kiedy się do nas przeniesiecie?

- Muszę złożyć wymówienie Lady Mortimor. Zrobię to jutro.

- W porządku. Będę was oczekiwać w ciągu tygodnia. Czy masz teraz czas, żeby wraz ze mną obejrzeć dom, Francesco?

Domek był niewielki, ale wygodny. Miał dobrze zaprojektowaną kuchnię, salon, a na pierwszym piętrze dwie spore sypialnie i mniejszy pokój z przylegającą małą łazienką.

- To pokój dziecienny - rzekła pani Vincent.
- Peggy ma tu masę zabawek. Bardzo chętnie bawi się sama.

Francesca miała co do tego niejaki wątpliwości, ale zachowała je dla siebie.

- Jak długo pani nie będzie? - spytała tylko.

- Och, mój Boże, nie mam pojęcia. Objazd potrwa trzy, a może cztery miesiące, i jak dobrze pójdzie, przedstawienie zostanie przeniesione do teatru w Londynie. A jeśli nie, mój agent będzie musiał znaleźć mi coś innego.

- A czy Peggy ma dziadków lub kuzynów, których chciałyby odwiedzić?

- Moi rodzice mieszkają w Ameryce, a Jeffa - w Wiltshire. Nie widzimy się z nimi często. - Coś w jej głosie powstrzymało Francescę od zadawania następnych pytań. Pożegnała panią Vincent i pochyliła się, by podać rękę Peggy.

- Na pewno nie zapomni pani o kotku?

- Nie zapomnę, obiecuję.

Po powrocie opowiedziała o wszystkim Lucy.

- To uroczy domek, na pewno ci się spodoba. Peggy wydaje mi się osamotniona. Chyba bardzo brakuje jej ojca. Obiecałam jej kociaka, pani Vincent się zgodziła.

- Nie czujesz do niej sympatii, prawda?

- Jest ładna i miła, ale chyba niezbyt interesuje się własną córeczką. Cóż, pewnie trudno siedzieć w domu z małym dzieckiem, jeśli było się przyzwyczajoną do gwaru w teatrze. A poza tym pewnie dużo udzielali się towarzysko, gdy jej mąż żył.

- Tak czy inaczej będzie nam lepiej niż u Lady Mortimor. Jutro zaczniemy się pakować. Aha, nie zapomnij, że profesor Pitt-Colwyn przyjdzie po kotkę i kociaki. Czy spotkasz się z nim jutro rano?

- Mówił, że będzie w parku. - Francesca zamyśliła się. - Muszę uważać, gdy będzie mowa o pani Vincent. Wspomniał, że przyjaźnił się z jej mężem, więc pewnie i ona jest jego przyjaciółką.

- Myślisz, że ma na niego oko?

- Lucy, co za wyrażenie! Chociaż... kto wie? Inna sprawa, że może on jest już żonaty.

- Zapytaj go.

- Tego nie zrobię na pewno!

Następnego ranka czekał na nią w parku. Było chłodno i Francesca, w wysłużonym blezerze narzuconym na bluzkę, żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego.

- Zmarznie pani - rzekł na powitanie. - Musimy iść szybko, tak będzie cieplej.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem. Bobo z trudem dotrzymywał mu tempa, a Brontes beztrudno uganiał się dookoła.

- No i co? Spotkała się pani z Eloise Vincent? Bierze pani tę pracę?

- Tak. Dzisiaj wręczę wymówienie Lady Mortimor.

- Widziała pani Peggy? I co?

- To bardzo ciche dziecko, prawda? Obiecałam jej kociaka, a jej matka się zgodziła. Pan weźmie do siebie pozostałe koty, prawda?

- Oczywiście. Zaraz, zaraz... będę miał czas w czwartek po szóstej. Jaki jest pani adres?

- Mieszkamy nad garażem u Lady Mortimor.

- Więc między szóstą a wpół do siódmej. Czy ma pani koszyk?

- Nie, ale wezmę kartonowe pudło z kuchni.

- Nie potrzeba, przyniosę kosz ze sobą. Jest pani zadowolona z warunków Eloise?

- Tak. I dziękuję za pomoc. To znacznie więcej pieniędzy i będzie tak przyjemnie nie musieć już... to znaczy być tylko we trzy z Peggy.

- Wierzę! Boi się pani Lady Mortimor?

Zastanowiła się chwilę.

- Nie, ale ona potrafi być bardzo nieprzyjemna. Nieraz miałam ochotę wrzasnąć na nią, ale natychmiast wylałaby mnie z pracy.

- No to teraz może pani na nią nakrzyczeć do woli. Choć na pewno do tego nie dojdzie. Ma pani zbyt dobre maniery.

Gdy na niego spojrzała, znów dostrzegła uśmiech błąkający się w kącikach ust. Musi ją chyba uważać za kompletnie bezwolną istotę, powoli więdnącą w staropanieństwie. Rzekła spokojnie:

- Muszę iść. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Koty będą na pana czekały. - Uśmiechnęła się bez przekonania. - Do widzenia, panie profesorze.

Zrobi wszystko, aby nie być w domu, gdy on przyjdzie po kociaki, zdecydowała wracając z psakiem do Lady Mortimor.

Trudno wyobrazić sobie gorszy moment, aby złożyć wymówienie. Krawcowa pani domu zatelefonowała z wiadomością, że suknia, którą miała przysłać tego dnia, nie jest jeszcze gotowa. Francesca weszła do pokoju w momencie, gdy Lady Mortimor oznajmiała w słuchawkę, że nic ją nie obchodzi, że szwaczka jest chora. Podniosła oczy na swą sekretarkę i dodała:

- Przed drugą sama przyślę dziewczynę po odbiór. Do tej pory suknia ma być gotowa.

- Słyszałaś? - warknęła. - Bezczelna baba twierdzi, że dziś nie zdąży. Mam zamiar iść w tej sukni na koktajl do Smithersów. Odbierzesz ją po lunchu.

Usiadła przy niewielkim biurczku i przerzuciła pocztę.

- Rachunki - stwierdziła z niechęcią. - Ci kupcy stale dopominają się o pieniądze. Zajmij się tym,

Francesco. Idę do fryzjera, wszystko ma być gotowe, gdy wrócę.

Francesca wzięła listy.

- Lady Mortimor, chciałam złożyć wymówienie. Odchodzę od dzisiaj za tydzień. - Położyła kopertę na biurku.

Lady Mortimor sprawiała wrażenie ogłuszonej. Czy wyszły jej z orbit i miała trudności ze złapaniem tchu.

- Co to za bzdury? Chyba zwariowałaś! Lekka praca i do tego mieszkanie... nie zamierzam tego nawet słuchać.

- Nie może mnie pani zatrzymać - stwierdziła trzeźwo Francesca. - Praca wcale nie jest lekka, a płaci pani fatalnie. Trudno też nazwać prawdziwym mieszkaniem dwie małe klitki z wnęką kuchenną i prysznicem, który i tak przeważnie nie działa.

- Będziesz miała wielkie trudności ze znalezieniem pracy! Już ja się o to postaram. Nie dam ci referencji.

- Mam już nową posadę i pani referencje nie są mi potrzebne.

- To wynoś się natychmiast, niewdzięczna diawucho!

- Jak pani sobie życzy, ale i tak jest pani zobowiązana w związku z wypowiedzeniem wypłacić mi pensję za dwa tygodnie. - Francesca z satysfakcją zauważyła, że twarz Lady Mortimor nabiera alarmującego odcienia czerwieni. - A poza tym, kto zajmie się proszoną kolacją w sobotę? A co z obiadem w niedzielę? Czy Ethel będzie sprawdzać rachunki?

Przerwała, zaskoczona własną arogancją. Właściwie powinna zostać wyrzucona za drzwi. Tyle że wcale by się tym nie przejęła.

Lady Mortimor zrozumiała, że poniosła klęskę.

- Zostaniesz do następnego tygodnia!

- Do wtorku wieczór - poprawiła ją łagodnie.

- Roześlesz ogłoszenia do tych gazet co zawsze.

Najpierw niech kandydatki przyślą zgłoszenia, a ja

umówię się na rozmowy, z kim będę uważała za stosowne.

- Tak, Lady Mortimor. Czy mam podać wysokość pensji?

- Nie. Pragnę cię poinformować, że zepsułaś mi cały dzień. Twoja niewdzięczność głęboko mnie zraniła.

Gdy Francesca została sama, zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia. Ale właśnie wtedy w pokoju pojawiła się rozpromieniona Maisie z filiżanką kawy.

- Rety, panienko, ale heca! Pan Crow właśnie przechodził przez hol i wszystko słyszał. Mówi, że wreszcie panienka jej wygarnęła i bardzo dobrze. Zawsze panienkę traktowała okropnie, a panienka to wszystko znosiła jak dama.

- Och, Maisie, jesteś taka miła. Byłam chyba bardzo niegrzeczna...

- Odrobina prawdy w oczy nikomu nie zaszkodzi. Mam nadzieję, że ta, co teraz nastanie, będzie się umiała dobrze odszczekiwać.

Francesca od razu poczuła się lepiej. W ciągu następnych dni uodporniła się zupełnie na humory i kąśliwe uwagi Lady Mortimor.

W czwartek, pamiętając o tym, że postanowiła nie spotkać się z profesorem, wróciła do mieszkania dopiero po siódmej, tylko po to, by zastać go rozpartego swobodnie w jedynym fotelu. Popijał kawę z kubka, podczas gdy Brontes z ojcowską wyrozumiałością pozwalał kociakom łązić po sobie.

- No, nareszcie! - przywitała ją Lucy. - Już myśleliśmy, że nigdy się nie zjawisz. W imbryku jest jeszcze trochę herbaty, ale Renier zjadł wszystkie herbatniki, bo nie miał czasu na lunch. Jak dzisiaj było? Koszmarnie?

- Nie najprzyjemniej. Czy Brontes nie jest słodki?

Profesor wstał i usadowił Francescę w fotelu. Sam zasiadł na małym krzeselku, które aż jęknęło pod jego ciężarem.

- Wyjeżdżam na jakieś dziesięć dni - powiedział.
- Mam nadzieję, że szybko się zdomowicie i polubicie z Peggy. Na pewno będzie wam lepiej niż tutaj. No, czas na mnie.

Usadził kotkę z kociakami w koszyku, podczas gdy Lucy tuliła pozostałego kotka.

- Będę o nie dbał - obiecał, uśmiechając się do dziewcząt. - *Tot ziens.*

Gdy wyszedł, pokój wydał się bardzo pusty.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wydawało się, że tydzień nigdy się nie skończy. Lady Mortimor postanowiła wycisnąć z Franceski siódme poty, zanim odejdzie. Było kilka odpowiedzi na ogłoszenia, ale jak dotąd kandydatki rezygnowały, wybrzydzając na tak zwane mieszkanie, a dwie z nich wręcz parsknęły śmiechem, gdy usłyszały, ile wynosi pensja. Lady Mortimor była wstrząśnięta.

- Będiesz musiała zostać, zanim nie znajdę kogoś odpowiedniego - oświadczyła.

- Nie ma mowy - odrzekła Francesca. - Podjęmę natychmiast nową pracę. Agencja pośrednictwa kogoś pani przyśle, ale pewnie tylko na przychodne.

Lady Mortimor spojrzała na nią wściekle.

- Dobrze o tym wiem, ale nie mam zamiaru płacić tych niebotycznych sum, jakich tam żądają.

Francesca popatrzyła w ślad za swą byłą chlebowdawczynią, która w furii wymaszerowała z pokoju, i spokojnie powróciła do wypisywania czeków dla kupców.

Ostatniego dnia dziewczyna nie miała ani chwili dla siebie, a gdy nadeszła szósta, Lady Mortimor oświadczyła, że połowa spraw przewidzianych na ten dzień nie została załatwiona.

- Nic naprawdę ważnego nie pozostało - oświadczyła Francesca. - Ktokolwiek przyjdzie na moje miejsce, z łatwością pozałatwia te drobiazgi. Żegnam panią.

Zamknęła za sobą drzwi, zza których wciąż dobiegała gniewna tyrada pani domu.

O wiele przyjemniejsze było rozstanie ze służbą. Kamerdyner Crow wręczył jej w imieniu wszystkich kwiatek w doniczce i życzył wszystkiego najlepszego.

- Bo pani naprawdę na to zasługuje - oświadczył z powagą.

Następnego ranka siostry ze swoimi skromnymi bagażami pojechały taksówką na Cornel Mews. Eloise Vincent już na nie czekała.

- Peggy jest w szkole, gosposia odbierze ją po lunchu. Ja tkwię po uszy w pakowaniu: wieczorem wyjeżdżam. Spisałam wszystkie nazwiska i adresy, które mogą się wam przydać. Zostawiam telefon kontaktowy, ale, na miłość boską, proszę dzwonić tylko, gdyby działo się coś strasznego.

Zaprowadziła dziewczyny na górę.

- Każda z was ma swój pokój. Teraz was zostawię, żebyście mogły się rozpakować.

Rzuciła okiem na koszyk, trzymany przez Lucy.

- To ten kociak? Myślę, że spodoba się Peggy. W kuchni jest kawa. Poczęstujcie się, dobrze?

Uśmiechnęła się czarująco i zeszła na parter.

Siostry mogły się teraz rozejrzeć po swym nowym lokum. Jakie to cudowne, że każda z nich będzie miała pokój dla siebie, w dodatku tak ładnie umeblowany! Rozpakowały rzeczy, powiesiły w szafach ubrania i, wciąż z kociakiem w koszyku, zeszły na dół. W kuchni zastały panią Wells, sprzątaczkę na przychodne. Była to kobieta w średnim wieku o sympatycznej twarzy. Nalała im kawy, poczęstowała kotka mlekiem i zaoferowała swą pomoc, gdy tylko będzie potrzebna.

- Pracowałam tu jeszcze, jak żył biedny doktor Vincent, tak że znam każdy kąt. Przychodzę o ósmej i wychodzę po lunchu. - Podsunęła Lucy i Francesce herbatniki. - Dziś wyjątkowo obiecałam przyprowadzić Peggy ze szkoły, zanim pójdę do domu.

- A może my to zrobimy? - spytała Francesca.

- Chciałybyśmy ją jak najszybciej lepiej poznać, a przy okazji zorientujemy się, gdzie się mieści szkoła.

- Doskonale. To niedaleko, na końcu naszej ulicy, przy Sefton Park Street. Pani Vincent wychodzi na lunch z przyjacielem, ale wróci przed drugą. O szóstej przyjedzie po nią samochód.

Francesca uświadomiła sobie, że powinna zadać swej nowej chlebodawczyni kilka pytań. Odstawiła filiżankę i poszła do pokoju.

- Mogłabym z panią chwilę porozmawiać?

Eloise siedziała przy telefonie z rozłożonym na biurku notesem. Uśmiechnęła się do Franceski.

- Rozgościłyście się? - zapytała. - Jeśli masz jakieś pytania, pani Wells jest źródłem wszelkiej wiedzy.

- Tak, jest bardzo pomocna, ale czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać? Chciałabym wiedzieć, o której Peggy idzie spać, czy są jakieś dania, których nie lubi, z jakimi koleżankami wolno jej się bawić...

- Ojej, ile pytań! Kładzie się chyba około siódmej, Lunch je w szkole, a o piątej dostaje podwieczorek. Właściwie nie znam jej przyjaciół. Mąż zabierał ją ze sobą, gdy szedł do znajomych. Tu raczej nikt nie przychodził, chociaż oczywiście w jej urodziny urządzaliśmy przyjęcie...

- A czy mogę poprosić o nazwiska i adresy lekarza i dentysty?

Eloise roześmiała się.

- Och, jeśli coś się będzie działo, proszę porozumieć się z Renierem. Jest jej ojcem chrzestnym i bardzo ją lubi. Zresztą ona nigdy nie choruje. A teraz muszę cię przeprosić, wszystko wie pani Wells.

Było oczywiste, że pani Vincent nie ma więcej czasu dla Franceski.

Peggy kończyła lekcje o trzeciej i obie siostry po nią poszły. Dzieci wybiegały dwójkami lub trójkami, lecz Peggy wyszła na samym końcu, zupełnie sama.

Sprawiała wrażenie, jakby ucieszyła się na ich widok. Szła między Francesca a Lucy, trzymając je za ręce i grzecznie odpowiadając na ich wesołe pytania o szkołę. Dopiero gdy Francesca powiedziała: „Ko-

ciak już na ciebie czeka", rozjaśniła się. Reszta drogi minęła na wybieraniu właściwego imienia dla przybysza.

Przed domem stał zaparkowany samochód, do którego wkładał właśnie walizki wysoki pan w średnim wieku. Powiedział „Cześć, Peggy”, nie przerywając swego zajęcia.

Odpowiedziała „Dzień dobry, panie Seymour” cichym, bezbarwnym głosem.

- Lepiej wejdź do domu i pożegnaj się z mamą - dorzucił mężczyzna przez ramię. - Odjeżdżamy za pięć minut.

Wszystkie trzy weszły do środka i odnalazły panią Vincent przy telefonie.

- Zaraz ruszam! - zawołała swym pogodnym, miłym głosem. - Chodź tu i pożegnaj się ze swoją staruszką, Peggy. Bądź grzeczna jak mnie nie będzie. Będę ci przysyłać pocztówki i telefonować do ciebie.

Ucałowała córeczkę i zwróciła się do Franceski.

- Będziemy w kontakcie - rzekła. - Na pewno świetnie sobie poradzisz. Od czasu do czasu daj mi znać, co słyhać.

Jej uśmiech był tak uroczy i wzruszający, że Francesca uśmiechnęła się także, tłumiąc niemiłe poczucie, że Eloise myśli tylko o swej karierze teatralnej i marzy, by znaleźć się jak najdalej stąd.

Spodziewała się, że Peggy rozpłacze się po odjeździe matki, ale na małej twarzączce nie było widać żadnego wzruszenia.

- Czy teraz dostanę kotka? - zapytała, zanim samochód skręcił za róg.

Przyłgnęli do siebie z maleńkim stworzonkiem w jednej chwili. Peggy siedziała uszczęśliwiona w salonie, trzymając go na kolanach i gładząc delikatnie szczupłą rączką.

- Nazwę go Tom - oznajmiła.

- To bardzo ładne imię.

- Tatuś czytał mi historyjkę o Tomku Kociaku...
- głos jej zadrżał, więc Francesca zapytała szybko:
- Opowiesz mi o swoim tatusiu? Chciałabym wiedzieć o nim wszystko.

Więc tu tkwi problem, uświadomiła sobie, słuchając niezbornej opowieści Peggy o ojcu i o tym, jak im dobrze było we dwoje. Córka uwielbiała go, a nie było nikogo, z kim mogłaby o nim porozmawiać. Popatrzyła na rozjaśnioną buzię i powiedziała łagodnie:

- Pamiętasz tyle miłych rzeczy o swoim tatusiu. On nigdy nie odejdzie od ciebie naprawdę, Peggy, zawsze będzie w twojej pamięci.

- Lubię cię - oznajmiła dziewczynka.

Po kilku dniach życie się ustabilizowało. Lucy wychodziła co rano do swojej szkoły, a Peggy - odprowadzana przez Francescę - do swojej. Po powrocie Francesca słała łożka, prała, prasowała lub robiła zakupy, podczas gdy pani Wells szalała po domu z odkurzaczem. Tom zadomowił się z łatwością. Świetnie wiedział, że Peggy jest jego panią. Zasiadał przy jej krzeselku podczas posiłków, a nocą spał w nogach jej łóżeczka.

Od pani Vincent nie było wiadomości. Francesca nawet nie wiedziała, gdzie ona się znajduje, bo lista miast, w których miały odbywać się przedstawienia, a którą Eloise obiecała przysłać, także nie nadeszła. Na szczęście pod koniec tygodnia przysłano pocztą czek na sumę pokrywającą wydatki na dom oraz pensję Franceski.

Dwa dni później, gdy po herbacie Francesca demonstrowała Peggy na kuchennej podłodze, jak gra się w szklane kulki, usłyszały dzwonek do drzwi.

- Ja otworzę - zawołała Lucy, która odrabiała lekcje w salonie. Po chwili głos profesora, dochodzący z przedpokoju, sprawił, że Peggy poderwała się i jak na skrzydłach popędziła, by go przywitać.

Spojrzał uważnie na Francescę, która podniosła się z podłogi.

- Kulki? Załapię się jeszcze na partyjkę? -I dopiero wtedy dodał: - Dobry wieczór, Francesco.

Dziewczyna sama była zdumiona, jak bardzo ucieszył ją jego widok.

- Dobry wieczór, panie profesorze. - Nietrudno było zauważyć, że był zmęczony. - Może przejdziemy do salonu? Zrobię kawę, a pan będzie mógł pogawędzić z Peggy. Na pewno pokaże panu Toma.

Pitt-Colwyn spojrział na drobną, uszczęśliwioną twarzyczkę dziewczynki.

- Doskonale, ale czy nie będziemy przeszkadzać siostrze?

- Właśnie skończyłam lekcje - odrzekła Lucy. - Pomogę Fran z kawą...

- Kanapkę? - zasugerowała Francesca.

- Wspaniale.

- Nie jadł pan lunchu ani podwieczorku?

- Miałem pracowity dzień. - Uśmiechnął się i było jasne, że nie zamierza rozwijać tego tematu.

Zaparzyła kawę, przygotowała półmisek kanapek z wołowiną na zimno i zaniósła tacę do salonu. Peggy siedziała na kolanach profesora, a Tom zwinął się w kłębuszek na jej podołku. Zaskakująca była radość dziewczynki i jej beztroska paplanina.

Francesca podała gościowi filiżankę z kawą.

- Możesz tam zostać, Peggy. Oto twoje mleko, tylko nie rozlej go na spodnie swojego chrzestnego taty.

Obserwowała profesora, gdy jadł.

Bez ceregieli pochłonał kilka kanapek, słuchając jednocześnie Peggy i od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę, która przyprawiała ją o chichot. Pora, gdy mała szła zwykle do łóżka, już minęła, ale Francesca nie miała serca odesłać jej na górę. Wreszcie Renier rzekł:

- Jeśli teraz grzecznie położysz się spać, zabiorę cię do zoo w sobotę po południu.

- A Fran i Lucy też pójda?

- Oczywiście. Tom zajmie się domem, kiedy nas nie będzie. A potem wrócimy na ogromny podwieczorek.

Zsunęła się z jego kolan i dała mu całusa na dobranoc.

- Czy Lucy mogłaby położyć ją do łóżka? - spytał.
- Moglibyśmy pogawędzić.

- Jasne. - Lucy schwytała kociaka i podała go Peggy- ~ A Fran przyjdzie i utuli cię w łóżeczku.

Francesca nagle straciła całą pewność siebie i zaproponowała dolewkę kawy.

- Żadnych problemów? - zapytał profesor.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba nic poważnego... Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o Peggy, zanim pani Vincent wyjechała, ale nie było czasu... Wydaje mi się, że mała nie ma przyjaciół. Czy pan myśli, że mogłabym zaprosić któregoś dnia dwoje lub troje dzieci? Peggy jest taka nieśmiała.

- Przede wszystkim jest nieszczęśliwa. Bardzo kochała ojca i brakuje go jej, a wydaje mi się, że Eloise tego nie rozumie. Peggy jest za mak, by udźwignąć aż tyle ukrytego cierpienia. - Spojrzał na Francescę.

- Podobno rozmawiacie z nią o ojcu?

- Tak. Dla niej on wciąż jest żywy, prawda? Czy pan uważa, że słusznie postępujemy?

- Jak najbardziej. I koniecznie proszę zaprosić jakieś dzieci, żeby się z nią pobawiły. A czy miałaś jakieś wiadomości od Eloise, Francesco?

- Nie. Pewnie jest zbyt zajęta, by pisać.

- W przyszłym tygodniu jadę do Cheltenham na premierę. Jeśli masz do niej jakieś sprawy, zawiadom mnie wcześniej.

- Dziękuję, wszystko jest w porządku. Pani Vincent jest pewnie bardzo dobrą aktorką?

Nie odpowiedział i Francesca zaczęła się zastanawiać, czy powiedziała coś nieodpowiedniego. Jeśli jest zakochany w matce Peggy, może być przewrażliwiony na jej punkcie.

Weszła Lucy.

- Peggy jest już po kąpieli i czeka w łóżeczku, żebyście powiedzieli jej dobranoc. Oboje!

Mała oplotła rączkami szyję Franceski.

- Kocham cię, Fran.

- Ja ciebie też, maleńka. I Toma także. A teraz zaśnij szybko, dobrze? Bo Tom już śpi.

Teraz przysłała kolej na profesora, któremu dziewczynka przypomniała o obiecaniej wyprawie do zoo.

- A teraz, Fran, opatul mnie kołderką.

Więc to zrobiła, a Renier przyglądał się im spod spuszczonej powiek.

W salonie rzekł:

- Dzięki za kawę i kanapki. Muszę już iść.

- Peggy była bardzo szczęśliwa, że pan ją odwiedził. - Odepchnęła od siebie myśl, że ona także poczuła się szczęśliwa. - Zje pan porządny posiłek przed pójściem spać, prawda?

Wyglądał, jakby miał zamiar się roześmiać.

- Z całą pewnością.

Uśmiechnął się do Lucy, położył na moment dłoń na ramieniu Franceski i wyszedł.

- Cieszę się na pójście do zoo - rzekła Lucy.

- Tak, może być bardzo przyjemnie, a Peggy będzie zachwycona. Muszę znaleźć jej jakieś koleżanki i kolegów...

- To plotkuj z mamusiami, kiedy odbierasz ją ze szkoły. Myślę, że Eloise raczej unikała wizyt dzieci w domu; są hałaśliwe i na pewno narobiłyby bałaganu.

- Pewnie masz rację, ale proszę, uważaj bardzo, co mówisz. On pewnie jest w niej zakochany, nie sądzisz? Jedzie aż do Cheltenham na premierę.

- To jeszcze nic nie znaczy. Co jest na kolację? Zrobiło się późno.

Już następnego dnia Francesca wymieniła przyjazne uwagi z mamami i nianiami, które przyszły do szkoły po dzieci. Odniosły się do niej życzliwie, a dziewczyna zadbała, by zwierzyć się, że pani Vincent wyjechała, a ona opiekuje się jej córeczką. Może uda

się doprowadzić do tego, by stworzyć dla Peggy małe kółko przyjaciół, zanim wróci jej matka? Już w tej chwili dziewczynka była bardziej ożywiona, nauczyła się zabaw popularnych wśród małych dzieci i spędzała całe godziny z Francesca i Lucy, przemeblowując dom dla lalek lub zastanawiając się nad nowymi strojami dla swych faworytek. Francesca zabrała się do robótek na drutach i dziergała na zimę miniaturowe swetry i blizery.

Następnego dnia cała trójka wybrała się na zakupy i okazało się, że Peggy nigdy nie była w domu towarowym Woolwortha. Oczarowana dreptała od jednego stoiska do drugiego, rozważając, na co wydać swoje kieszonkowe.

Po rygorze panującym u Lady Mortimor życie było bardzo przyjemne. Miały dom - przynajmniej na jakiś czas, wystarczało im pieniędzy, rysowała się przed nimi rozkoszna perspektywa kilku nowych ciuszków, a także powiększenia ich maleńkiego kapitałiku w banku. Wszystko szło dobrze.

Renier pojawił się w sobotę po lunchu, zapakował dziewczyny do samochodu i wyruszyli do zoo. Był pogodny, jesienny dzień - niespodzianka po dłuższym okresie lodowatych deszczów. Francesca w swym wyjściowym kostiumie, z kasztanowatymi włosami lśniącymi w słońcu, siedziała koło niego na przednim siedzeniu gawędząc, zaś Lucy i Peggy chichotały i paplały z tyłu. Zmęczony lekarz, który był niemal całą noc na nogach, opiekując się pacjentem w ciężkim stanie, słuchał miłego głosu Franceski, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówiła, lecz ciesząc się jego brzmieniem.

Wyprawa bardzo się udała. Wędrowali, zatrzymując się, gdy zobaczyli coś szczególnie ciekawego aż do chwili, gdy Peggy ujrzała wielbłądy spacerujące z dziećmi siedzącymi na ich grzbietach.

Profesor wyłowił z kieszeni kilka monet i wręczył je Lucy.

- Wy dwie możecie się przejechać, a Francesca i ja trochę odpoczniemy.

- Od razu poczułam się jak starsza pani - żyłaki i artretyczne kolana! - zaprotestowała dziewczyna ze śmiechem, gdy usiedli na ławce.

- Ty, moja droga, nigdy się nie zestarzejesz. To zależy wyłącznie od usposobienia - rzekł lekko, nie patrząc na nią. - Mam nadzieję, że zadomowiliście się na dobre?

- O, tak. Lucy i Peggy świetnie się ze sobą zgadzają.

- To widać. A ty, Francesco, matkujesz im obu.

Poczuła, że się rumieni.

- A jak tam Brontes i koty? - spytała szybko.

- Świetnie. Brontes zaadoptował całą kocią rodzinę. Musisz przyjść i sama zobaczyć. Może zjemy razem lunch któregoś dnia, gdy dziewczynki będą w szkole? Zadzwoń do ciebie.

- Czy to ma być zaproszenie? - spytała Francesca niepewnie.

- A cóż by innego. Masz ochotę wpaść, prawda?

Nie miała najmniejszego zamiaru się do tego przyznać.

- Będzie mi bardzo miło znowu zobaczyć kotkę i małe.

Jego surowe usta zadrgały tłumionym śmiechem.

- Ja też tam będę. Mam nadzieję, że będzie ci także miło zobaczyć mnie.

- Ależ oczywiście.

Będzie szczęśliwa, widząc go znowu, ale on nie może się o tym dowiedzieć. Zachowuje się po prostu jak dobry znajomy, zabijając czas, nim wróci Eloise. Jakże chciałyby wiedzieć o nim coś więcej! Nieświadomie wyraziła swoje życzenie głośno i zaraz tego pożałowała.

- Jesteś bardzo miła, ale właściwie niewiele jest do powiedzenia. Pracuję, jak wszyscy mężczyźni. Tyle że może mam więcej szczęścia, bo robię to, co naprawdę lubię.

- Czy pan jeździ codziennie do szpitala?
- Do kilku, a poza tym mam prywatną praktykę.
- Skoro jest pan profesorem, to pewnie uczy pan studentów? - chciała wiedzieć.

- Najlepiej, jak umiem. Od czasu do czasu podróżuję, głównie, by egzaminować studentów w innych krajach. Mam do pomocy niezwykle kompetentną sekretarkę oraz pielęgniarkę...

- Przepraszam za moje wścibstwo, sama nie wiem, dlaczego zaczęłam pana wypytywać...

Jej twarz znów się zarumieniła. Spuściła oczy, a długie, ciemne rzęsy rzuciły cień na policzki. Wyglądała tak pięknie, że Renier patrzył na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę. Francesca poczuła się pewniej, dopiero gdy Lucy i Peggy przybiegły do nich z powrotem. Wśród beztroskiej paplaniny dziewczynek zapomniała o chwilowym skrępowaniu.

Potem wrócili razem do domku na Cornel Mews i zjedli podwieczorek: ciastka i pierniczki, malutkie kanapki i herbatniki z czekoladą.

- Zupełnie, jakbym miała urodziny - powiedziała Peggy, radośnie uśmiechnięta.

Profesor został jeszcze po podwieczorku, grając z nią w warcaby na podłodze przed kominkiem. Gdy wreszcie podniósł się, wydawał się olbrzymem.

- Przemiełe popołudnie - stwierdził. - Musimy kiedyś to powtórzyć.

Ucałował swą małą chrześnicę, objął na moment Lucy i ruszył ku drzwiom w asyście Franceski.

- Zadzwonię niedługo - obiecał - i dzięki za podwieczorek.

Minęło jednak kilka dni, zanim telefon zadzwonił. Zasadniczy głos pragnął wiedzieć, czy to panna Haley i jeśli tak, to czy zechce zjeść za dwa dni lunch w towarzystwie profesora Pitta-Colwyna.

- Czy nie byłoby to dla pani kłopotliwe, aby przyjść w południe do Regents Hospital i spytać o profesora?

Francesca zgodziła się. Zastanawiała się, czy będą jedli lunch w szpitalu? Co ma włożyć na siebie? Niestety, znów wchodził w grę tylko brązowy kostium! Płaszcz zimowy był już zbyt znoszony i, choć miały teraz trochę pieniędzy, Lucy potrzebowała palta bardziej niż ona. Wystarczy, gdy umyje włosy, pomaluje paznokcie i kupi sobie nową szminkę.

Regent's Hospital znajdował się na East Endzie. Był to wyjątkowo brzydki budynek, górujący nad płataniną nędznych uliczek. Francesca wysiadła z autobusu naprzeciw głównego wejścia i zgłosiła się do rejestracji.

Urzędniczka musiała wiedzieć, kim jest przybyła, ponieważ połączyła się z kimś telefonicznie, a następnie skinęła na jednego z portierów.

- Proszę bardzo, panno Haley, portier panią zaprowadzi...

Francesca podążyła za nim, żałując, że w ogóle się tu pojawiła. Profesor pewnie zapomniał o swym zaproszeniu i właśnie operuje. Portier wskazał jej krzesło w małym pokoiku na końcu korytarza. Było tu zupełnie pusto i przez moment miała ochotę uciec, ale nagle pojawiła się grupa ludzi, zmierzających korytarzem w jej kierunku. Profesor przewyższał wzrostem ich wszystkich: małą, krępa siostrę oddziałową, dwóch czy trzech młodych ludzi w białych krótkich kitlach, starszego pana w długim kitlu oraz wysoką panią o poważnym wyglądzie z plikiem broszur pod pachą.

- Aha, tu jesteś - rzekł tonem, jakby się przed nim schowała. - Proszę, poczekaj jeszcze pięć minut...

I znikł wraz z całą asystą.

Pojawił się ponownie nieco później, wytworny w ciemnoszarym garniturze i jedwabnym krawacie, który musiał kosztować przynajmniej tyle, co najlepsze pantofle Franceski, które zresztą były przyciasne.

- Miło, że zechciałaś tu przyjść - rzucił lekko. - Nie byłem pewien, o której uda mi się wyrwać. Jedziemy?

Poszła wraz z nim do samochodu, a gdy tylko wsiedli, uwolniła stopy z pantofli, które ją niemiłosiernie uwierały. Profesor, który obserwował ją kątem oka, stłumił uśmiech i rzekł coś o pogodzie.

Pojechali w kierunku wschodnim przez małe, boczne uliczki. Mniej więcej po dziesięciu minutach dotarli do wąskiej ulicy z eleganckimi domami w stylu renesansu. Przy każdym z nich znajdował się starannie utrzymany mały ogródek. Schodki wiodły do drzwi wejściowych, nad którymi znajdowały się piękne półkoliste okna.

Profesor zatrzymał wóz i otworzył drzwiczki przed Francesca.

-Pomyślałem sobie, że przyjemnie będzie zjeść lunch w domu - powiedział. - Brontes marzy, żeby cię znowu zobaczyć.

-Pan tu mieszka? - wyrwało się jej. Niemądre pytanie „ale zaskoczył ją fakt, że byli co najwyżej pięć minut od domku pani Vincent.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do drzwi, które otworzył im dystyngowany mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czarną marynarkę i spodnie w prążki.

- Francesco, to jest Peak. Dzięki niemu wszystko w domu idzie jak po maśle. Pani Peak jest moją gospodynią. Peak, to panna Haley. Proszę jej pokazać, gdzie może zostawić okrycie, dobrze? - Ujął swą torbę lekarską. - Będę w salonie.

W ślicznej małej garderobie Francesca poprawiła włosy, nałożyła nieco więcej szminki na usta i postanowiła zdjąć żakiet od kostiumu. Nie chciała wyglądać, jakby lada chwila miała zamiar poderwać się i wybiec z domu. Bluzka także nie była nowa, ale uszyta z pięknego jedwabiu w odcieniu kości słoniowej, a pasek w talii zrobiony był z mięciutkiej skóry. Pantofle niestety nadal ją cisnęły.

Gdy powróciła do holu, Renier ukazał się w na wpół otwartych drzwiach.

- Zapraszam na drinka przed lunchem. - Otworzył drzwi szerzej i Brontes, wyraźnie zachwycony widokiem Franceski, wysunął zza nich swój wielki łeb.

Pokój był wąski i długi, z pięknym kominkiem i wykuszowym oknem wychodzącym na ulicę. Były tu wielkie, miękkie fotele, intarsjowana serwantka, wypełniona porcelaną i srebrem oraz rozstawione tu i ówdzie niewielkie stoliki.

Profesor wybrał jeden z nich nie opodal okna.

- Sherry? - zapytał. - Usiądź, proszę.

Spełniła jego prośbę i spostrzegła, że kotka z małymi leżała rozkosznie zwinięta w kłębek na jednym z foteli.

- Och, widać, że koty są całkowicie zadomowione.

- Brontes się o to postarał - rzekł, podając jej kieliszek. - Jest ich prawdziwym aniołem stróżem.

Popijała sherry, cały czas wyczuwając bliskość gospodarza; Brontes z ufnością oparł się o niego bokiem i obaj przypatrywali jej się uważnie. Jak to się już zdarzało, słowa same jej się wyrwały.

- Czy pan chce mi coś powiedzieć? Czy dlatego pan mnie zaprosił?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Ale możemy z tym jeszcze poczekać. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Twoja siostrzyczka to bardzo bystre dziecko. Czy już ma jakieś plany na przyszłość?

- Jest inteligentna. Po końcowych egzaminach chciałaby studiować na uniwersytecie.

- Jakiś młody człowiek porwie ją na długo przedtem. - Uśmiechnął się do Franceski. - A ty? Czemu nie wyszłaś za męża?

To ją kompletnie zaskoczyło.

- No więc... myślę, że po prostu nie spotkałam jeszcze właściwego mężczyzny.

Zareagował na to dość mętne wyjaśnienie łagodnym uśmiechem.

- Czy mam coś przekazać Eloise?

- Chyba tylko to, że Peggy jest wesoła i dobrze radzi sobie w szkole. Pani Vincent nie pisała ani nie dzwoniła, ale domyślam się, że jest bardzo zajęta.

- Z całą pewnością - odrzekł poważnie.

Peak pojawił się z wiadomością, że lunch jest gotowy. Francesca z Renierem przeszli do niewielkiego pokoju z widokiem na ogród.

Lunch składał się ze schłodzonego melona, łososia zapiekanego we francuskim cieście oraz kawy *bavarois*. Podczas posiłku profesor prowadził ze swym gościem uprzejmą, neutralną konwersację. Tak można by rozmawiać z kimś obcym, z kim dzieli się stolik w restauracji, pomyślała Francesca z odcieniem zawodu. Potem, gdy powrócili do salonu i popijali kawę z delikatnych porcelanowych filiżanek, rzekła:

- Chciałabym wiedzieć coś więcej o pana pracy. To spotkanie w szpitalu uświadomiło mi, że zupełnie pana nie znam od tej strony. Przepraszam, znów jestem wścibska - dodała speszona.

- O wpół do trzeciej mam wizytę - powiedział.

- Odwiozę cię po drodze, więc mamy jeszcze pół godziny. Zdejmij te buty i usiądź sobie wygodnie.

- Och, skąd pan wie? Są rzeczywiście przyciasne. Naprawdę mogę?

- Oczywiście. Więc co cię interesuje w mojej pracy, Francesco?

- Wiem już, że jest pan profesorem kardiologii, ale czy chirurgiem? Mówił pan, że bywa w różnych szpitalach i że podróżuje. Po co?

- Jestem chirurgiem: operuję na otwartym sercu, zajmuję się by-passami i transplantami. W zasadzie pracuję w Regent's, ale operuję też w dużych szpitalach na prowincji. Prowadzę praktykę prywatną, a dwa razy w tygodniu przyjmuję w przychodni. Pracuję w Lejdzie, a sporadycznie w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Od czasu do czasu także na Bliskim Wschodzie.

- W Lejdzie? Któregoś dnia w parku powiedział pan *tot ziens*. Sprawdziłyśmy, że to po holendersku.

- Moja matka jest Holenderką, mieszka niedaleko Lejdy. Spędzam tam sporo czasu. Ojciec był Anglikiem, zmarł przed dwoma laty.

Spojrzał na nią z półuśmiechem. Francesca odniosła wrażenie, że podśmiewa się z jej wścibstwa.

- Sama nie wiem, czemu tak się dopytywałam. Byłam taka nieuprzejma. Na pana miejscu chyba już nigdy nie odezwałabym się... - wyjąkała.

- Ale nie jesteś na moim miejscu, a ja na szczęście nie widzę powodu, by czuć się urażony. A odzywać się czasem i tak bym musiał, choćby z powodu Peggy.

- No tak, oczywiście... - Francesca wstała i z niejakim trudem wsunęła stopy w pantofle. - Dziękuję za pyszny lunch... Renier - dodała niepewnie.

Zdawał się nie dostrzegać jej zmieszania. Dopiero gdy zatrzymał się na Corael Mews, wziął z jej dłoni klucz, otworzył drzwi wejściowe i powiedział:

- Kiedyś będziemy musieli spotkać się znowu i porozmawiać, Francesco. - Po czym pochylił się i delikatnie ucałował ją w policzek na pożegnanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy pojawiła się Lucy, Francesca siedziała przy kominku, czytając Peggy bajkę.

- No, udał się lunch? Co było do jedzenia?

Francesca wyrecytowała całe menu.

- Wspaniale! I pomyśleć, że ja w tym czasie wci-
nałam wątróbkę na boczku! A gdzie byliście?

- U Reniera w domu. To bliźiutko stąd.

Lucy rzuciła w kąć podręczniki i uklękła przy ogniu.

- Błagam, opowiedz mi wszystko!

A gdy starsza siostra skończyła, orzekła:

- On musi być strasznie bogaty. I mądry. Ciekawe,
jaka jest jego mama.

- A co w szkole?

-W porządku. - Lucy poszperała w kieszeni.

- Tu jest list do ciebie, ale nie przejmuj się tym.
Na nic nie liczę.

Oczywiście nie była to do końca prawda. Or-
ganizowano grupę uczennic, które miały wyjechać
przed Bożym Narodzeniem na dwa tygodnie na narty
do Szwajcarii. Zapewniano instruktą oraz opiekę
nauczycieli. Wysokość opłaty przekraczała jednak
zdecydowanie możliwości Franceski.

- Och, Lucy, tak mi przykro! - spojrzała na pode-
jrzenie pogodną buzię siostrzyczki. - Oczywiście
wszystkie twoje przyjaciółki jadą?

-Większość, ale to nieważne, Fran. Spędzimy
wspaniale ten czas, przygotowując się do Świąt.

Więcej nie było o tym mowy, lecz Francesca
siedziała długo w nocy nad kolumnami cyferek. Nie-
stety, nie stwarzały one żadnej nadziei dla Lucy.

Nadal nie było wiadomości od pani Vincent. Dziewczyna jednak liczyła, że po spotkaniu z nią profesor przywiezie Peggy coś od matki. Mała nie okazywała tęsknoty, choć Francesca miała wrażenie, że jest trochę blada i przygaszona. Podzieliła się swymi wątpliwościami z panią Wells.

- Ja tam nie lubię gadać - rzekła ta miła kobieta - ale mamuśka Peggy nigdy nie miała dla niej czasu. Jest rozczarowana: ona taka ślicznotka, a Peggy... mała brzydulka. Niech pani się nie przejmuje, panno Haley. Peggy wcale nie jest tak bardzo przywiązana do swojej matki. Była za to naprawdę szczęśliwa, kiedy za życia jej tatusia przyjeżdżali z wizytą dziadkowie.

Francesca niepokoiła się jednak trochę. Chętnie poradziłaby się profesora, ale on był zapewne teraz u pani Vincent. Tego dnia, po szkole, podała Peggy podwieczorek, dziewczynka nie miała jednak apetytu. Postanowiła więc położyć małą do łóżeczka. Nie mogła jej zmierzyć temperatury, bo w domu nie było nawet termometru, ale dziecko było rozpalone. Gdy zdjęła sukienkę Peggy, zobaczyła wysypkę na jej plecach.

- Tom... ja chcę Toma - rzekła cichutko dziewczynka. - Tak mnie boli głowa.

- Zaraz go przyniosę, kochanie - obiecała Francesca. Ułożyła Peggy w łóżeczku i popędziła na dół. Nawet jeśli profesor Pitt-Colwyn jeszcze nie wrócił, ten miły kamerdyner Peak pewnie ma jego numer telefonu, a jeśli nie, to bodaj numer miejscowego lekarza.

Wykręciła numer, pozostawiony przez panią Vincent. Odebrał Peak.

- Czy profesor pozostawił numer telefonu? Muszę koniecznie się z nim skontaktować. Peggy zachorowała.

- Chwileczkę, panno Haley.

I niemal natychmiast w słuchawce odezwał się spokojny głos.

- Francesca?

- Och, więc jesteś! Peggy ma wysypkę na całych plecach, jest apatyczna i rozbita. Chyba ma gorączkę, ale nie mogę znaleźć termometru i nie wiem, gdzie mieszka doktor...

- Położyłaś ją do łóżka? Świetnie. Będę za dziesięć minut. - Odłożył słuchawkę.

Francesca pobiegła z powrotem do Peggy i posłała Lucy na dół, by otworzyła drzwi profesorowi.

Nie słyszała, kiedy wszedł. Jak na tak wysokiego mężczyznę poruszał się zadziwiająco szybko i cicho. Uświadomiła sobie jego obecność, dopiero gdy położył jej dłonie na ramionach, odsunął lekko od łóżeczka Peggy i pochylił się nad chorym dzieckiem.

Sprawił wrażenie absolutnie spokojnego, gdy badał Peggy i mierzył jej temperaturę. Potem usiadł, czekając, aż Francesca ułoży z powrotem dziewczynkę i okryje ją kocykiem.

- Czy przechodziłyście obie z siostrą ospę wietrzną? - zapytał Francescę.

- O tak, dawno temu, w dzieciństwie.

- Ja też. A teraz ma ją Peggy. - Ujął małą, wiotką łapkę w swoją dłoń. - Bardzo niedługo poczujesz się lepiej, maleńka. Każdy przechodzi przez tę chorobę, ale na szczęście trwa ona tylko kilka dni. Teraz weźmiesz lekarstwo i zaśniesz równie mocno jak Tom, a rano przyjdę znów do ciebie.

- Ale ja nie chcę, żeby mama przyjechała!

- Nie musi przyjeżdżać, kochanie. Francesca będzie się tobą opiekować. - Ucałował rozpaloną małą główkę. - A teraz Lucy z tobą posiedzi, a Francesca pójdzie do apteki po lekarstwo. *Tot ziens.*

Na buzi Peggy pojawił się nikły uśmieszek.

- *Tot ziens* - odrzekła.

W salonie Francesca zapytała nerwowo:

- Czy jest aż tak chora, żebym musiała zawiadomić jej matkę? Mówiła, żeby jej nie niepokoić, to jest, żeby dzwonić tylko, jeśli zdarzy się coś bardzo poważnego.

Gdy Renier milczał, dodała nerwowo:

- Przepraszam, że byłam niegrzeczna przez telefon. Byłam taka zdenerwowana i sądziłam, że nie ma cię w Londynie.

- A czemu tak przypuszczałaś?

- Mówiłeś, że wybierasz się do Cheltenham.

-I rzeczywiście tam byłem. -Jednocześnie wypisywał receptę. - Nie martw się, nic złego się nie dzieje. Peggy ma temperaturę, ale to normalne przy wietrznej ospie. Kup to i dopilnuj, żeby przyjmowała trzy razy dziennie.

Wyjął ze swej lekarskiej torby buteleczkę i wytrząsnął białą tabletkę.

- Trzeba to rozpuścić w mleku. Mała poczuje się po tym lepiej i będzie dobrze spała.

Zatrzasnął torbę i podniósł się.

- Zajrzę jutro po drodze do szpitala, ale jeśli coś cię zaniepokoi, dzwoń do mnie śmiało. A o matkę się nie martw. Zobaczę się z nią za dzień czy dwa i wszystko jej wyjaśnię.

Francesca odprowadziła go do drzwi i uprzejmie życzyła dobrej nocy. Gdyby nie musiała natychmiast wrócić do Peggy, najchętniej zaszyłaby się w jakimś kącie i porządnie wypłakała. Właściwie nie wiadomo, dlaczego.

Peggy przespała spokojnie całą noc, a rano pojawił się profesor. Był nie ogolony, w grubym swetrze i Francesca stwierdziła od razu:

- Nie kładłeś się przez całą noc.

- Niezupełnie przez całą. Jak tam Peggy?

Poszli do niej oboje i Renier wyraził zadowolenie z jej stanu. Oczywiście pojawiły się nowe wypryski, ale temperatura trochę spadła i dziewczynka powitała chrzestnego ojca dość wesoło.

-Jeśli będzie miała apetyt, może jeść wszystko w umiarkowanych ilościach - poinstruował Francescę. -I niech regularnie bierze lekarstwo.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Lucy właśnie zrobiła herbatę. Jeszcze nie jadłyśmy śniadania, zjesz z nami?

Odmówił uprzejmie.

- Muszę pojechać do domu, wziąć natrysk i przebrać się. Od dziesiątej przyjmuję w przychodni.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do wnętrza poranny chłód.

- Zajrzę wieczorem - rzucił z lekkim skinieniem głowy.

Tego popołudnia zatelefonowała z Wiltshire babcia Peggy. Miała miły, spokojny głos.

- Dzwonił Renier. Biedna malutka Peggy, ale tak się cieszymy, że ma dobrą opiekę. Domyślam się, że jej matka nie daje znaku życia?

- Nie, ale profesor mówił, że nie ma powodu jej niepokoić. Peggy czuje się znacznie lepiej, więc proszę się nie martwić.

- To nasza jedyna wnuczka. I taka jest podobna do naszego syna... Bardzo przyjaźnili się z Renierem. Razem chodzili do szkoły i studiowali. Renier był drużbą na ślubie, a potem ojcem chrzestnym Peggy.

- Czy chciałaby pani porozmawiać z Peggy? Przyniosę ją do telefonu.

- To byłoby wspaniale...

Peggy, siedząc na kolanach Franceski, nie mogła się nacieszyć pogawędką z babcią. Wreszcie Francesca szepnęła:

- Peggy, zapytaj babcię, czy mogłaby telefonować codziennie w porze podwieczorku, a jeśli się zgodzi - pożegnaj się już.

Było to dla obu stron bardzo satysfakcjonujące rozwiązanie.

Renier wpadł wieczorem, spędził dziesięć minut z rozspaną Peggy i po króciutkiej rozmowie poszedł.

- Nie mam po co przychodzić rano - rzekł - ale zajrzę jutro mniej więcej o tej samej porze.

Następnego dnia oznajmił, że Peggy może wstać, włożyć szlafroczek i bawić się w domu.

- Trzeba tylko trzymać ją w cieple, a zanim wróci do szkoły, powinien minąć co najmniej tydzień. I absolutnie nie może się drapać.

Oznajmił też, że jutro zobaczy się z Eloise.

- To bardzo miło - rzekła jadownicę Francesca.

- Na pewno będziesz w stanie uśmierzyć jej niepokój. A babcia Peggy dzwoni każdego popołudnia...

- Wiem o tym. Postaram się wpłynąć na Eloise, by pozwoliła małej pojechać do dziadków na kilka dni. Z tobą, oczywiście.

- Ale co z Lucy?

- A czy nie mogłaby spędzić tych paru dni w szkolnym internacie, ze swymi koleżankami?

- Byłaby zachwycona... ale to strasznie kosztowne.

- Nie dla Eloise. A ktoś przecież musi pojechać z Peggy.

Lucy oczywiście uznała to za fantastyczny pomysł.

- Te z internatu mają kupę zabawy. Prawie wszystkie moje przyjaciółki tam mieszkają. Myślisz, że pani Vincent za mnie zapłaci?

- Renier uważa, że tak. Da mi znać...

- No jasne - rzekła lekko Lucy. - Jeśli są w sobie zakochani, to zrobią wszystko dla siebie nawzajem. Pewna jestem, że za parę dni okaże się, że wszystko jest załatwione.

Miała rację. Renier zjawił się akurat, gdy wszystkie trzy siedziały przed kominkiem, opiekając placuszki na podwieczorek.

Peggy, blada, ale już bez wysypki, rzuciła mu się na szyję.

- Gdzie byłeś? Tak za tobą tęskniłam! Francesca i Lucy też.

- Najważniejsze, że teraz jestem tutaj - rzekł, całując ją na powitanie. - Czy mógłbym dostać filiżankę herbaty i jeden placuszek? A dla ciebie w holu czeka paczka. Pobiegnij po nią, to prezent od twojej mamy.

Po chwili Peggy wróciła z dużym pakunkiem i bez wielkiego entuzjazmu zaczęła rozwijać papier. Wewnątrz była przepiękna, wspaniale ubrana lalka.

- Jaka śliczna! - zawołała Francesca. - Mama przysłała ci piękny prezent.

- Jest zupełnie taka sama jak inne moje lalki. Nie lubię żadnej z nich, tylko misia i Toma. - Peggy ostrożnie odłożyła lalę i wdrapała się Renierowi na kolana. - Już zjadłam swój placuszek, ale czy mogę jeszcze spróbować twojego?

- Pod warunkiem, że Francesca ci pozwoli i że nie poplamisz mi spodni masłem.

Francesca wręczyła mu dużą papierową serwetkę i nalała do filiżanek świeżej herbaty.

- Proszę powiedzieć, czy... - zaczęła, po czym zmieniła nagle zamiar - czy... dobrze się bawiłeś... tam, dokąd wyjeżdżałeś?

Renier, który spędził dokładnie jedną dobę w Birmingham, którego nie znosił, a z tego tylko cztery godziny w towarzystwie Eloise, odparł gładko, że owszem, było bardzo przyjemnie. Nie wspomniał o krótkiej wizycie w Edynburgu, gdzie operował nocą na otwartym sercu i o innej operacji, natychmiast po powrocie, w szpitalu Regenfs.

- Niestety, placuszki już się skończyły - oznajmiła chłodno Francesca - ale jest mnóstwo chleba. Mogłabym zrobić grzanki.

Oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy.

- Mniam, mniam. Ze świeżym masłem i z miodem. Znasz najlepszą drogę do serca mężczyzny, Francesco.

Otworzył jedno oko i posłał jej uśmiech, ale dziewczyna udała, że tego nie dostrzega i ruszyła do kuchni.

Gdy wróciła, pozostali gawędzili wesoło o Bożym Narodzeniu. Kiedy ostatni okrusz grzanki został już pochłonięty, Lucy wstała i zwróciła się do Peggy:

- Chodź, pójdziemy do kuchni. Włożę ci fartuszek i sama pozmywasz, a ja będę tylko wycierać.

Gdy zostali we dwoje, Francesca desperacko szukała przez moment odpowiedniego tematu do konwersacji.

- Czy masz dla mnie jakieś wiadomości od pani Vincent?

- Nic specjalnego. Uważa, że to bardzo dobry pomysł, żeby Peggy odwiedziła dziadków, oczywiście pod twoją opieką. Zapłaci także za internat Lucy. Ja mam zorganizować podróż, pokryć koszty i tak dalej.

- A co z Tomem?

- Naturalnie zabierzecie go ze sobą. Pani Wells będzie przychodziła także pod waszą nieobecność, ale Peggy na pewno nie chciałaby się ruszyć bez swojego kotka.

- Uspokoiłeś panią Vincent, że Peggy czuje się już lepiej? Zmartwiła się bardzo?

Profesorowi stanęła przed oczami ładna twarz Eloise i nadasana mina, jaką zrobiła, obawiając się, że choroba dziecka może zagrozić jej nowemu, ekscytującemu życiu.

- Nie - odparł z uśmiechem. - Jest zupełnie spokojna, gdy Peggy jest pod twoją opieką.

- Kiedy mamy wyjechać?

- W niedzielę rano. Zadzwonię do starszej pani Vincent i wszystko omówię. Wiem, że będzie uszczęśliwiona.

- Nie będzie miała za dużo pracy w związku z tą wizytą?

- Państwo Vincent mają liczną służbę. Poza tym ona uwielbia Peggy.

- Mam zapytać wychowawczynię Lucy, czy może zamieszkać w szkolnym internacie na tydzień czy dwa?

- Ja sam się tym zajmę.

Zaczekał, aż pojawiła się ponownie Peggy, już wykapana i w nocnej koszulce, aby zademonstrować mu z dumą nikłe ślady pozostałe po wysypce. Gdy już powiedzieli sobie dobranoc, pożegnał się powściągliwie z Francesca i wyszedł.

Lucy odchodziła od zmysłów z radości. Miała wiele przyjaciółek w szkole i, choć nigdy o tym nie było

mowy, siostra świetnie wiedziała, że marzy, by mieszkać wraz z nimi w internacie. Peggy też była podniecona i szczęśliwa. Coś z ich nastroju udzieliło się i Francesce. Ona także z niecierpliwością oczekiwała wyjazdu. Nadeszła wreszcie pocztówka do Peggy z Carlisle. Eloise nabazgrała na niej tylko: „Mam nadzieję, że jesteś grzeczna, ucałowania, Mama”.

Usiłowania Franceski, by nakłonić dziewczynkę do zrobienia rysunku dla matki lub bodaj kupienia dla niej kartki pocztowej, spęłzyły na niczym. Ona sama wysłała do prawnika pani Vincent list do niej, z prośbą o przekazanie go adresatce. Opisała w nim stan zdrowia i postępy Peggy oraz dołączyła szczegółowe rozliczenie wydatków. Prosiła też o kontakt, gdyby pani Vincent miała jakieś specjalne życzenia. Prawnik odpisał niemal natychmiast, iż wie od swej klientki, że z całą pewnością przez pewien czas nie powróci ona jeszcze do domu, a panna Haley powinna postępować w sposób, który uważa za najkorzystniejszy dla Peggy. Niewiele z tego wszystkiego wynikało, ale Francesca miała nadzieję, że gdy spotka się z dziadkami swej podopiecznej, przejmą oni w pewnym stopniu odpowiedzialność za dziecko.

W sobotę po południu Renier pojawił się, by odwieźć Lucy do internatu. Towarzyszył mu Brontes, siedzący na tylnym siedzeniu auta. Profesor zapewnił Peggy, że następnego ranka zawiezie ją do babci. Zaczekał, aż siostry pożegnały się czule, po czym, zapakował Lucy z rzeczami do samochodu i odjechał. Nie przyjął uprzejmego zaproszenia Franceski, by wracając wpadł na herbatę.

- Spodziewam się telefonu od Eloise - wyjaśnił, uważnie wpatrując się w twarz dziewczyny.

Wieczorem zatelefonowała z internatu Lucy. Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej i Francesca mogła mieć stuprocentową pewność, że jej siostra nie odczuwa tęsknoty za domem.

Następnego dnia profesor przybył akurat na poranną kawę. Był w dobrym nastroju i pogodnie gawędził z Peggy. Francesca nie była w stanie powiedzieć nic rozsądnego. Była coraz bardziej świadoma, że choć chwilami Renier ją denerwował, a w dodatku podejrzewała, że za nią nie przepada, to jednak straszliwie potrzebowała jego obecności. Kiedy znajdował się w pobliżu, czuła, że nie musi się absolutnie o nic martwić, choć przyszłość była niejasna. Gdy tylko pani Vincent wróci z tournée, Francesca znajdzie się bez pracy. Ale w tej chwili oszczędzała każdy grosz, a do tego lubiła swoją pracę. I coraz bardziej przywiązywała się do Peggy...

Renier zaprosił ją na przednie siedzenie.

- Brontes zaopiekuje się Peggy - wyjaśnił. - Tom może siedzieć między nimi w swoim koszyczku.

- A dokąd my właściwie jedziemy? - spytała niezbyt uprzejmie Francesca, gdy wyjechali na autostradę.

- Boże, czyżbym ci nie powiedział?

Potrząsnęła głową.

- Do Wiltshire, w pobliżu Marlborough. Wioska nazywa się Nether Tawscombe. Państwo Vincent mieszkają w pięknym starym domu, zwanym Old Rectory.

- Byłeś tam już przedtem?

Roześmiał się.

- Kilkakrotnie w tym domu spędzałem z Jeffem wakacje. Jeździliśmy często także później, podczas studiów.

- A potem on się ożenił - odpowiedziała.

- Tak. Ale Eloise źle się tam czuła. Nie znosi wsi.

Coś w jego głosie powstrzymało ją od próby podtrzymywania rozmowy. Obejrzała się. Peggy jedną ręką objęła Brontesa, zaś drugą dotykała zwiniętego w koszyku Toma. Była tak szczęśliwa, że jej twarzyczka wydawała się prawie ładna.

Przybyli do Nether Tawscombe w porze lunchu. W bladym słońcu jedyna ulica we wsi sprawiała

wrażenie opustoszałej, ale domki stojące po obu stronach były prześliczne. Droga wiodła pod górę, aż do kościoła i przylegającego doń wiejskiego cmentarza. Old Rectory - Stare Probostwo - znajdowało się tuż obok. Otwarta brama ukazywała niski, rozłożysty budynek o oknach z drobnymi szybkami i z solidnymi frontowymi drzwiami.

Samochód zatrzymał się tuż przed nimi i niemal natychmiast pojawił się starszy pan. Francesca pozostała nieco z tyłu, a w tym czasie mężczyźni wymienili uścisk dłoni, zaś podekscytowana Peggy rzuciła się dziadkowi na szyję. Potem wszyscy weszli do wąskiego holu, z którego druga para drzwi wiodła do ogrodu mieszczącego się za domem. Brontes natychmiast popędził w tamtym kierunku, a za nim czarny labrador, który pojawił się wraz z siwowłosą, uroczą zaokrągloną starszą panią.

Peggy krzyknęła z radości i rzuciła się ku babci, a pan Vincent rzekł z uśmiechem do Franceski:

-Zawsze się uwielbiały, a nie widziały się tyle czasu. Cudownie, że przyjechaliście, panno?

- Proszę nazywać mnie Francesca, tak jak Peggy.

Pani Vincent podeszła i ujęła jej dłoń z taką serdecznością, że dziewczynie łzy napłynęły do oczu, bo minęło już kilka lat, odkąd była pozbawiona dobroci i ciepła.

Łatwo było zauważyć, iż Renier Pitt-Colwyn był starym przyjacielem gospodarzy, i że cieszyli się jego wizytą. Uściskał na powitanie panią Vincent, spytał, do których pokoiów ma zanieść bagaże, a wreszcie ruszył w górę szerokimi schodami tak pewnie, że niewątpliwie trafiłby na miejsce z zawiązanymi oczami.

Gospodyni dostrzegła, że Francesca odprowadziła go wzrokiem, i rzekła:

-Znamy Reniera od tylu lat! To bardzo dobry człowiek, ale z pewnością wie to już pani sama... czy mogę mówić ci po imieniu?

- Och tak, koniecznie! Co mam teraz robić? Zabrać Peggy na górę, żeby umyła ręce przed lunchem? Jest taka uradowana i podniecona!

- Dobrze, kochanie. Po prostu postępuj tak jak zawsze. Wiemy tak mało o codziennym życiu naszej wnuczki. Gdy żył jej ojciec, przyjeżdżał tu z nią bardzo często...

Ani słówka na temat Eloise, odnotowała Francesca. Zresztą to nie jej interes.

Poszły z Peggy na górę, gdzie czekały na nie dwa połączone drzwiami pokoje o niskich sufitach i oknach wychodzących na zimowy ogród. Po Londynie, nawet po jego eleganckiej części, było to coś zupełnie cudownego.

Profesor został na lunchu i była zaskoczona słysząc, że nie wraca do Londynu.

-Aha, spokojny weekend w Pomfritt Cleeve? Świetnie - stwierdził pan Vincent i, jak na złość, nie dodał ani słowa więcej.

Po lunchu Renier pożegnał wszystkich obecnych, przy czym Francescę na samym końcu, klepiąc ją po ramieniu jak dobry wujaszek. Stała w holu z całego serca pragnąc pojechać wraz z nim. Tak, tego właśnie chciała - uświadomiła sobie w oszołomieniu - być przy nim na zawsze. Nagle zdała sobie sprawę, że była w nim zakochana już od dłuższego czasu, tylko nigdy nie dopuszczała do siebie tej myśli. A on? W najlepszym razie odnosił się do niej przyjaźnie, ale znacznie częściej z kompletnie bezosobową uprzejmością. Odwróciła wzrok, by nie widzieć, jak będzie wychodził.

Francesca nie mogła jednak poświęcić się całkowicie swym smutkom. Peggy stała się zupełnie innym dzieckiem. Szalała z Tomem i labradorem, uganiała się po ogrodzie, jeździła na wiekowym kucyku. Nabrała apetytu, a zasypiała natychmiast, gdy jej główka dotknęła poduszki. O tej porze na szczęście i Francesca była już senna. Dni na wsi mijały bardzo przyjemnie, a państwo Vincent traktowali ją jak

własną córkę. Usiłowała nie myśleć zbyt często o Renierze i niemal jej się to udawało, tyle że po tygodniu otrzymała list od Lucy. Siostra pochwaliła się, że profesor przyszedł do szkoły i zabrał ją na herbatę. „Ni mniej, ni więcej tylko do Ritza!”, nabazgrała z całą masą wykrzykników.

Po odprowadzeniu Lucy do internatu, Renier wrócił do siebie i usiadł w ogromnym fotelu przy kominku w towarzystwie Brontesa i kotki z pociechami. Podczas podwieczorku zadawał Lucy mnóstwo pytań, robiąc to tak dyskretnie, że dziewczynka nie zdawała sobie sprawy, jak wiele mu mówi. Między innymi wspomniała o organizowanym przez szkołę wyjeździe do Szwajcarii. „Ale ja oczywiście nie mogę pojechać - zwierzyła mu się. - To kosztuje kupę forsy i Fran nie byłoby na to stać, tym bardziej że obie potrzebujemy nowych płaszczy, a pani Vincent wraca, więc będziemy musiały się wyprowadzić”.

Renier potakiwał poważnie, starając się wydobyć z niej jak najwięcej informacji. Teraz pogłaskał wielki łeb Brontesa.

- Będę musiał znów zobaczyć się z Eloise - oznajmił psu. - Tylko jak to zmieścić w czasie w przyszłym tygodniu?

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

Minął tydzień, potem dziesięć dni. Peggy była tak szczęśliwa, iż Francesca zaczęła się martwić, co będzie po powrocie. Jasne było, że mała i jej dziadkowie bardzo się kochają. Starsi państwo nie psuli małej, lecz okazywali jej prawdziwe uczucie, którego nigdy nie doświadczyła ze strony matki. Pewnego poranka pani Vincent przyszła do maleńkiego pokoiku, w którym Francesca prasowała ubranka dziewczynki.

- Pewnie się zastanawiasz, czemu tak rzadko wspominałyśmy o matce Peggy - rzekła. - Widzisz, Eloise nigdy nie chciała mieć dziecka, a gdy nasza wnuczka

wreszcie przyszła na świat, w pewnym sensie odrzuciła ją. Peggy jest podobna do naszego syna, a Eloise to piękność. Obawiała się, że jej przyjaciele będą się śmiali z takiego brzydkiego kaczątka. Na szczęście Jeff i malutka bardzo się kochali. Niestety, mała usłyszała kiedyś, jak Eloise zwierzyła się przyjaciółce, że wolałaby, aby Peggy w ogóle się nie urodziła. Kochane dziecko nigdy nie powiedziało o tym ojcu, ale zwierzyło się pani Wells, a ona oczywiście powtórzyła to mnie. Tak bardzo pragnę, aby Peggy mogła zamieszkać z nami na stałe!

- A czy rozmawiała pani na ten temat z Eloise?

- Nie. Wiem, że ma zamiar niedługo ponownie wyjść za mąż, i być może jej wybrany będzie chciał uznać Peggy za córkę.

Francesca pomyślała, iż pani Vincent mówi zapewne o profesorze.

- Rzeczywiście, to możliwe - rzekła martwym głosem.

Renier pojawił się następnego dnia w porze lunchu. Gdy Francesca weszła do jadalni, usłyszała, jak informował państwa Vincent, że wpadł po drodze na spotkanie z Eloise.

- Chciałbym zamienić z panem dwa słowa, sir - rzekł do pana Vincenta - bo ta rozmowa będzie dotyczyć Peggy. Musimy ustalić pewne sprawy.

Francesca miała wrażenie, iż kotlet zamienia się w jej ustach w popiół. Potem zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie jadła, nie pamiętała też zupełnie, o czym rozmawiano podczas lunchu. Ona sama chyba zachowywała się w miarę normalnie, bo nikt nie spoglądał na nią ze zdumieniem.

Po posiłku gospodarz poprosił Reniera do swego gabinetu. Wyszli stamtąd po półgodzinie i - wśród chóru pożegnań - profesor odjechał. Tym razem Francesca przyglądała się, jak odjeżdżał. Następnym razem, gdy go ujrzy, będzie już zaręczony z Eloise. A może nawet pobiorą się do tego czasu?

Trzy dni później pan Vincent powiedział do żony:
- Renier telefonował. Wszystko poszło po jego myśli. Jest już w Londynie, ale ma tyle pracy, że w najbliższych dniach nie będzie mógł nas odwiedzić.

Pani Vincent rozpromieniła się.

- Musisz mi wszystko potem opowiedzieć. Kochany chłopiec musi być uszczęśliwiony.

Francesca, modelując z plasteliny kota dla Peggy, usiłowała wywołać w sobie uczucie radości z powodu szczęścia Reniera. Ale nie bardzo jej się to udawało.

Pojawił się pod koniec tygodnia, pewnego deszczowego popołudnia. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Zbyt ciężko pracuje, pomyślała z miłością dziewczyna, patrząc na bruzdy na jego przystojnej twarzy, pozostawione przez wyczerpanie. Wydawało się też, że ukrywa jakąś małą tajemnicę. Ale jaką, Francesca nie była w stanie odgadnąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obaj mężczyźni znowu znikli na jakiś czas w gabinecie, a po powrocie starszy pan rzekł:

- No, więc wszystko już ustalone. Który z nas powie Peggy?

- Co takiego? - Peggy zamieniła się cała w słuch.

- Że mogę tu zostać na zawsze?

- Odgadłaś! Mądra z ciebie dziewczynka. - Pani Vincent uściskała wnuczkę. - Właśnie tak się stanie. Będziesz mieszkać ze mną i z dziadziusem, no i oczywiście chodzić do szkoły.

Peggy rzuciła się na szyję dziadkowi.

- Naprawdę? Nie muszę wracać do mamy? Ona mnie wcale nie chce.

- Kochanie, mamusia jest bardzo zajęta, a praca w teatrze zajmuje dużo czasu. Będziesz mogła ją odwiedzać, ile razy zechcesz.

- Nie zechcę. A co będzie z Francesca?

Francesca, bardzo zajęta robieniem kolejnego zwierzątka z plasteliny, nie zareagowała.

- Najlepiej będzie - rzekł profesor - jeśli wszystko sam Francesce wytłumaczę. Weź płaszcz, Francesco i chodźmy - dodał łagodnie.

Odmowa nie miałaby sensu. Wzięła więc swój wiekowy burberry i ruszyli do samochodu, przy którym czekał już Brontes.

- Dokąd mnie wieszysz? - spytała lodowato.

- Pomfritt Cleve. Mam tam domek. Będziemy mogli spokojnie pogadać.

- A o czym takim, czego nie mogłeś mi powiedzieć u państwa Vincent?

- To dotyczy nie tylko Peggy, ale i ciebie.

Skręcił w boczną drogę wysadzoną żywopłotem. Chwilę potem przejechali przez małą wioskę - jedna uliczka z kościołem i kilkoma starannie utrzymanymi domami - a potem znów jechali wąską drogą. Renier zatrzymał wóz przed sporym, krytym strzechą domem. Okna były oświetlone, a w progu ukazała się tęga kobieta. Brontes pognał ku niej z radosnym ujadaniem i omal nie przewrócił jej z radości.

-Dobre psisko - rzekła kobieta z miękkim akcentem charakterystycznym dla wschodniej Anglii i dodała: - Proszę wejść, sir i panienko. Ogień pali się na kominku w salonie, a herbata będzie za dziesięć minut.

Profesor objął ją i ucałował serdecznie w oba policzki.

-Blossom, to cudownie znowu panią widzieć. A w dodatku czuję jakiś apetyczny zapach.

Ujął Francescę pod ramię.

- Francesco, to pani Blossom, która tu mieszka na stałe i zajmuje się domem. Blossom, oto panna Haley.

Domek, stwierdziła Francesca, gdy się już trochę rozejrzała, wcale nie był taki mały. W salonie znajdowały się wygodne krzesła i stoliki porozstawiane na lśniącej podłodze. Przy kominku usytuowany był niski stół, a po jego obydwu stronach stały wygodne sofy. Zasiadła więc naprzeciw gospodarza, nalała herbatę do delikatnych, porcelanowych filiżanek i skosztowała ciepłych ciasteczek wprost z piekarnika. Ponieważ była dobrze wychowaną panienką, starała się podtrzymywać lekką rozmowę. Nie trwało to jednak długo.

-Zostawmy na razie pogaduszki - uciął Renier - i zajmijmy się poważnymi sprawami. Eloise jest bardzo zadowolona, że Peggy zamieszka z dziadkami. Ma zamiar wyjść wkrótce za mąż, a zarazem kontynuować karierę sceniczną, toteż nie będzie jej nawet często odwiedzać. Starsza pani Vincent sprowadzi

córkę swojej dawnej niani, aby zajmowała się wnuczką. Będziesz więc mogła wyjechać, gdy tylko ona się pojawi. Nie, nie przerywaj. Jeszcze nie skończyłem. Lucy już wie, że pojedzie do Szwajcarii na narty. Rozmawiałem na ten temat z jej wychowawczynią.

- Chwileczkę! Słuchaj no!... - zaczęła Francesca, lecz Renier nadal nie dopuszczał jej do głosu.

- Nie mówiłem ci, bo wiedziałem, że nigdy się nie zgodzisz. Mała zasługuje na porządne wakacje, a jeśli chodzi o koszty, zwrócisz mi, kiedy będziesz mogła.

- Ależ ja jestem bez pracy - wykrzyknęła rozpaczliwie. - Jak śmiałeś zrobić coś takiego za moimi plecami!

- Jeśli chodzi o ciebie, Eloise zgadza się, abyś przez kilka dni pozostała na Cornel Mews i spokojnie się spakowała. Ja odwiozę Lucy do Zeebrugge, gdzie spotka się z grupą swoich koleżanek ze szkoły. Na pewno będziesz chciała wybrać się z nami...

- Przecież muszę szukać pracy!

- Jeśli chodzi o to, mam dla ciebie propozycję.

- Obserwował ją, uśmiechając się lekko.

- Nie chcę o niczym słyszeć - rzekła ostro. - Nie chcę słuchać niczego więcej...

- Może to rzeczywiście nie jest dobry moment. Jesteś zdenerwowana, prawda? Ale już nic nie możesz zmienić. Gdybyś teraz zabroniła Lucy pojechać na narty, złamałabyś jej serce.

- Ona przecież nie ma odpowiednich ubrań!

- Dostała wszystko, co jest potrzebne, w prezencie gwiazdkowym.

Zacisnęła zęby.

- A ty, jak się domyślam, żenisz się?

- Mam szczyry zamiar.

Wściekłość i desperacja nieomal odebrały jej głos.

- Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwy.

- Jestem tego zupełnie pewny.

- Odwieź mnie do domu.

Nie protestował, i całe szczęście, mogłaby bowiem wybuchnąć płaczem. Co teraz ze sobą zrobi? Gdzie podzieją się, gdy Lucy wróci z ferii zimowych? Czy do tej pory zdąży znaleźć pracę? A zanim jej się to uda, czy skromniutkie oszczędności wystarczą im na życie?

Francesca dzielnie pożegnała się z panią Blossom, skomplementowała jej pyszne ciasteczka i wsiadła do samochodu, w którym unosił się zapach skóry oraz - odrobinę - sierści Brontesa.

A najbardziej dziwne było to, że mimo wszystko bliskość potężnego ciała Reniera na siedzeniu obok jakoś ją uspokajała.

Po powrocie do domu Vincentów, Renier pożegnał gospodarzy, beztriosko zapewnił Francescę, że wkrótce się z nią skontaktuje i odjechał.

Jej gospodarze zachowywali się tak, jakby byli pewni, że przyszłość dziewczyny jest w pełni zabezpieczona, a ona nie widziała powodu, by wyprowadzać ich z błędu. W końcu to jej własny problem.

Dwa dni później pan Vincent odwiózł ją do domku na Cornel Mews. Dziewczynie było niezmiernie smutno wyjeżdżać ze wsi. W dodatku bardzo przywiązała się do Peggy, która już planowała, co będą robić, gdy spotkają się ponownie, a babcia jej dzielnie sekundowała. Francesca starała się być wesoła. Po drodze gawędziła ze starszym panem, który pożegnał ją słowami: „do zobaczenia wkrótce”. A potem mogła wreszcie usiąść i porządnie się wypłakać...

Wśród korespondencji znalazła krótki list od Reniera. Pisał, że przyjedzie po nią za dwa dni o dziewiątej rano i wyruszą wraz z Lucy do Zeebrugge. Potem zadzwoniła jej siostra.

- Czy to nie cudowne? Jutro po południu wrócę do domu. Jak to fajnie, że Renier odwiezie mnie aż do Zeebrugge, tam spotkam się z innymi. Och, Fran, jak fantastycznie mieszka się w internacie. Zaproszono mnie w masę miejsc na przyjęcia świąteczne.

Francesca nie przerywała jej zachwyków. Jest jeszcze trochę czasu do Świąt. Może w ciągu trzech tygodni uda jej się dostać posadę i znaleźć jakiś kąt, gdzie będą mogły zamieszkać.

- W ogóle się nie odzywasz - rzekła nagle Lucy.

- Miałam męczący dzień, a teraz pakuję rzeczy. Muszę jeszcze pogadać z panią Wells.

- Jutro ci pomogę. Ale cieszysz się też na przejażdżkę, prawda?

- Szalenie - odparła Francesca przez zaciśnięte zęby. - Do jutra, Lucy.

Zanim Lucy się pojawiła, Francesce udało się zrobić wszystko, co sobie zaplanowała. Skontaktowała się z prawnikiem, była w banku i wyjęła z konta sumkę, na jaką było ją stać, przygotowała paszporty - nie używane, od kiedy siostry były z rodzicami we Francji - i napisała list do Eloise Vincent. Nie trzeba było więc już nic robić. Siostry ucięły sobie pogawędkę i położyły się spać.

Bentley zatrzymał się przed domem punktualnie o dziewiątej. Renier włożył walizkę Lucy i torbę Franceski do bagażnika i zasiadł przy kierownicy.

- Usiądź z przodu, Lucy - poleciła Francesca, a sama dała nura na tylne siedzenie, by aż do Dover z napiętą uwagą podziwiać widoki za oknem.

Po pięciu godzinach byli w Zeebrugge, gdzie pożegnali Lucy, która przyłączyła się do swojej grupy. Teraz dopiero Francesca uświadomiła sobie, w jakiej niezręcznej sytuacji się znalazła.

- Co mam teraz zrobić? - zwróciła się do Reniera z prawdziwym przerażeniem. - O której jest powrotny prom?

Ujął ją pod ramię.

- Teraz pojedziemy do mojego domu w Holandii. Moja matka bardzo się ucieszy.

- Muszę wracać i zacząć szukać pracy...

Nie zwracając uwagi na jej protesty, Renier zaparkował ją do samochodu i zasiadł przy kierownicy.

- To wszystko nie ma sensu... miałam dziś przemocować u pani Wells...

- Zadzwonimy do niej. - Jego głos brzmiał zasadniczo, ale i kojąco. - Wkrótce będziemy w domu.

Jechali autostradą okrążającą Antwerpię. Po przekroczeniu granicy holenderskiej bentley pędził przez Tilburg i Arnhem. Chłodne popołudnie zmieniło się w zmierzch. Zatrzymali się tylko raz na kawę, którą wypili w pośpiechu. Francesca siedziała w milczeniu, otepiała ze zmęczenia i smutku, świadoma, że gdy wrócą do Anglii, nie będzie już powodów, dla których miałyby ponownie ujrzeć Reniera. Była tak przygnębiona, że nie zauważyła, iż krajobraz się zmienił. Droga wiała się pośród drzew i gęstych zarośli. Gdzieś tam tylko przebłyskiwało jakieś światło. Wreszcie skręcili w bramę wjazdową, przebyli wąski, piaszczysty podjazd i zatrzymali się przed domem. Renier pochylił się, odpiął pas bezpieczeństwa Franceski i pomógł jej wysiąść. Wpatrywała się w ciemną sylwetę budynku. Był solidny, kwadratowy, w oknach paliło się światło o ciepłym odcieniu. Na kutej balustradzie balkonu ponad gankiem połyskiwał szron.

Francesca rzekła ze smutkiem:

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Nie powinnam była pozwolić ci decydować o losie Lucy i moim. Jestem ci wdzięczna za pomoc. Domyślałam się, że wszystko potoczyło się tak, jak ty i Eloise tego chcieliście. Nie rozumiem tylko, po co mnie tu przewiozłeś.

- Nie chciałaś słuchać tego, co chciałem ci powiedzieć w Pomfritt Cleeve. - Renier był teraz tuż przy niej. - Widzę, że będę musiał znowu spróbować.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Jesteś upartą, dumną dziewczyną z kompletnym zamętem w tej ślicznej głowinie. Kocham cię do szaleństwa. Zakochałem się w tobie, gdy tylko cię ujrzałem. A ty pleciesz jakieś głupstwa o Eloise. Przecież ja jej nawet nie lubię! Trzeba było jednak

coś zrobić dla Peggy. Posłuchaj wreszcie, kochana, a ja ci przedstawię swoją propozycję. Czy wyjdiesz za mnie?

A Francesca, czując uścisk jego silnych ramion, z głową na jego głośno bijącym sercu, odpowiedziała niemal bez tchu:

- Och tak, tak, Renier, tak!

I wtedy mógł wreszcie ją pocałować.